Nr. 39 (1446). Warszawa, 26 Września 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownych abonentów prosimy o przysyłanie prenumeraty na zbliżający się czwarty kwartał

Redakcja.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Panama wszechpolska.

List Jeża — o którym krótko wspomnieliśmy w poprzednim numerze — został przez naszą prasę (z małymi wyjątkami) potraktowany w ten sposób, jakgdyby był on tylko wyrazem politycznego antagonizmu wybuchającego w łonie jednego stronnictwa, jakgdyby chodziło tu tylko o oświadczenie się za „nowym kursem", który sędziwy autor emigrant nazwał zwrotem „na prawo w tył", lub też za tradycją polityki emigranckiej reprezentowanej przez twórców Skarbu Narodowego.

Najgłębsze znaczenie sprawy zostało w ten sposób pominięte i zatarte. Zupełnie niezależnie od tego, czy T. T. Jeż ma kwolifikacje praktycznego polityka, czy ich nie ma (jak twierdzą *Słowo* i *Głos Warszawski*)—powstaje tu ważne zagadnienie etyki życia publicznego: Czy wolno wbrew woli ofiarodawców i na przekór idei, której służyli, przywłaszczyć fundusz narodowy na użytek jednej partji i to takiej, która przez usta swych przywódców publicznie szczyciła się tym, iż przelewała krew bratnią?- Czy wolno trwonić grosz ofiarny mający służyć budzeniu świadomości narodowej w ludzie polskim na szacherki wyborcze zaciemniające tę świadomość, przedstawiające temuż ludowi Świętochowskich i Krzywickich jako jego wrogów, jako „obcych", których wszelkimi sposobami zwalczać należy? Komisja nadzorcza S. N. P. obowiązana była zasilać „organizacją polityczną uosabiającą w sobie ruch narodowy i kierującą nim de facto, t. j. zajmującą w życiu politycznym narodu stanowisko podobne do organizacji Komitetu centralnego r. 1862-go". Czy Demokracja narodowa maczając ręce w tym funduszu czuła się moralnie uprawnioną do objęcia sukcesji po Komitecie centralnym i czy zdoła się przed opinją publiczną wylegitymować do tego spadku?

Mniejsza o to, co kto myśli o polityce owego Komitetu z przed 46 lat; mniejsza o to, czy kto wierzy lub nie w rozum polityczny obecnego sztabu endecji i jego chwalców z pośród realistów. Sumienie narodu, głos opinji publicznej nie da się oszukać. Jedno jest jawnym i niezaprzeczonym: pieniądz przeznaczony na cele narodowe, trwoniono na cele partyjne. Ta walka, którą N.-D. prowadziła i prowadzi przeciw takim pół i ćwierć Polakom jak Świętochowski, Krzywicki, Żeromski, Daniłowski, Sieroszewski—ludziom stanowiącym kwiat inteligiencji polskiej i kultury narodowej, którą prowadziła zawzięcie przeciw masom ludu polskiego wszczynając wśród niego bratobójcze zatargi, ta agitacja wyborcza rzucająca się w pierwszym rzędzie na analfabetów (jak objaśniano przed wyborami patryjotyczne agitatorki) by w ich rękach zamieniać kartki *złe* na *dobre*, nie miała nic wspólnego z budzeniem „świadomości narodowej ludu", o jakiej marzyło Towarzystwo demokratyczne, Komitet centralny i wszystkie inne patryjotyczne grupy emigracji.

Protest Jeża stawia przed oczy machérów politycznych Endecji, upiorne widma wszystkich kłamstw i fałszów, jakimi tumanili opinję polską w kraju i za granicą, w Europie i za Atlantykiem, w masach ludowych i w masach bezmyślnej szlagoncrji i burżuazji.

Partja posługując się całym garniturem różnorodnych masek dokonała przewłaszczeń zwiększających jej siły i środki—a potem głosiła „urbi et orbi". „Za nami stoi naród cały; Polska to my!"

Gdy zaś i ta firma okazała się nie dość wygodną, ze względu na niesprzyjające warunki, zadecydowała nową „rewizję programu" i przybrała najświeższy słowiański kostjum. Obrona państwowości rosyjskiej przed nawałą giermańską, czy także ma być zasilana odsetkami Skarbu Narodowego, jeżeli jeszcze cośkolwiek z owych ostatnich stu tysięcy franków zostało? Czy uważalibyśmy za słuszne, gdyby ktoś pieniądze zbierane dla głodnych przeznaczył na zakup przyrządów sportowych dla kształcącej się młodzieży? A w razie takiego „odwrócenia" zamierzonego celu ofiarności, czy wolno byłoby polemizować o to, co w danej chwili potrzebniejsze lub ilu głosami przewłaszczenie zadekretowanym zostało?

Wolno narodowej-demokracji rewidować swój program choćby i trzy razy do roku; przywykliśmy do tego i na nikim to już nie robi wrażenia. Ale przy rewizji programu należy zrewidować i kieszenie. Tego się opinja publiczna domaga.

Każdy grosz publiczny jest depozytem w ręku tych, co nim dysponują i z niego publicznie wyliczyć się należy. Gdzie bezimienne masy w ciągu długich lat składają ofiary, tam głosowanie wśród ofiarodawców jest niemożliwe i nie podniosą się imienne głosy protestu dla dopilnowania właściwego użytku krwawo zapracowanych a pobożnie ofiarowanych groszaków. A jednak z tą milczącą rzeszą żywych i zmarłych ofiarodawców liczyć się trzeba, trzeba wobec nich i ich spadkobierców zdać rachunek. Nie myślcie panowie z *Głosu Warszawskiego* i z „Koła", że można się jakokolwiek wykręcić. Spadkobiercą ofiar narodowych jest naród; przed tym trybunałem stanąć musicie.

Nie po raz pierwszy was przed niego pozywano w tej sprawie. W latach 1904 i 1905—ukazały się w Krakowie dwie broszurki: „Gdzie się podział skarb narodowy?” oraz „Emigracja i skarb narodowy”. Stały się one na razie przedmiotem polemiki w pismach galicyjskich, polemiki której echo stłumiła w Królestwie Polskim cenzura (jeszcze wówczas istniejąca), a którą później zgłuszyły wypadki ważne, pędzące tak wartkim potokiem, że uniosły daleko od świadomości publicznej mniej zajmującą na razie kwestję: „Gdzie się podział skarb narodowy”. Skorzystawszy z zamętu i wrzawy, narodowa-demokracja, zawsze czujna i baczna, gdy o finansowe korzyści chodzi, spokojnie obgryzała uciułany przez emigrację polską fundusik, a dla pewności postarała się nieomal cały nakład broszury d ra Henryka Gierszyńskiego wykupić i zniszczyć. Na jej nieszczęście tu i owdzie trafi się jeszcze jakiś egzemplarz, z którego wyczytać można całe dzieje roztrwonionego skarbu. Dowiadujemy się więc, że pierwszym inicjatorem był Agaton Giller, pierwszym ofiarodawcą Żyd Reiff w 1886 r. „nie przewidujący zapewne, że kiedyś z odsetek korzystać będą antysemici, tak zwani wszechpolacy”, a potem pierwszy większy zapis wpłynął od Ludwika Michalskiego, syna galicyjskiego chłopa, „który także nie przewidywał, że „nowocześni Polacy” zbliżeni duchem do stańczyków będą kiedyś za te pieniądze grać rolę *neotorysów* i krytykować szczerych ludowców w Galicji”.

Zdania w cudzysłowach cytuję z książki Gierszyńskiego wydanej wtedy, gdy jeszcze o najnowszym zwrocie „na prawo w tył” mowy nie było, a już stało się widocznym, że „prąd narodowy” płynie całkiem innym korytem niż to, które „nowoczesny Polak” wyżłobił. Protest Jeża nie jest więc *jedydynym* protestem, lecz jest *ostatnim* z łona samejże komisji narodowej, która umiała przez kooptację uzupełniać się w kierunku swych zamierzeń i pozbywać się lub majoryzować niewygodnych „protestantów”. Walne „odnowienie” komisji nadzorczej w duchu partyjnym narodowo demokratycznym nastąpiło w 1903 roku i od tej pory większość uchwalająca przelewanie do kas partji odsetek skarbu była na stałe zapewniona. Prasa demokratyczna galicyjska protestowała wtedy przeciw zasilaniu funduszem narodowym „kameleonów politycznych” gdyż „dziś rzeczy tak stoją, że jeżeli sztabowi spodoba się przejść do pokrewnego sobie obozu stańczyków, to i skarb narodowy za sobą pociągnie”. „Czyż nasi amerykańscy rodacy, pyta p. Gierszyński, którzy głównie skarb zasilili, którzy od samego początku, t. j. od roku 1887 zbierali na skarb, a w r. 1892 mieli u siebie 11 tysięcy dolarów, wiedzieli cośkolwiek o Lidze narodowo-demokratycznej?” A dalej czytamy takie zestawienie: „Czyż napuszeni Pigmeje dzisiejszej pseudo-demokracji, którzy oświadczyli się przeciw zbyt szerokiej reformie prasowej, przeciw powszechnemu głosowaniu, za ograniczeniem sądów przysięgłych mają jakie podobieństwo do demokratów z 1836 i 1863 r.? Nie”.

To mówiono jeszcze przed kilku dokonanemi rewizjami programu i przed zapowiadaną obecną. Można powiedzieć, że Jeż był z pomiędzy oponentów najcierpliwszy i najdłużej podlegał zaślepieniu. Wszakże jeszcze przed wyborami do drugiej Dumy, narodowa demokracja, która z przerażeniem widziała w przeciwnym sobie obozie wszystkie nazwiska czczone i zasłużone, rzuciła na szalę walki wyborczej nazwisko autora „Uskoków” i podpisaną przez niego odezwą gromiła znienawidzonych postępowców. Wtedy już jeden z jej przywódców na pierwszym zjeździe kobiet polskich w Warszawie” — przemilczanym tajemniczo przez prasę partyjną — oświadczył publicznie: „Na walkę wyborczą musieliśmy naruszyć fundusz narodowy”. Była to zatym tajemnica konspirowana przed narodem lecz wiadoma w szeregach partji i dla tego partja cała odpowiedzialność za nią ponosi.

Dziś też partja cała musi się z zarzutu oczyścić, musi się domagać publicznego wyjaśnienia i obrachunku, — tego wyjaśnienia, którego brak nawet w liście Jeża. Co pozostało ze skarbu narodowego? w czyim ręku znajduje się on dzisiaj? Jaki jest stosunek sum wydanych na cele ogólnie narodowe, do roztrwonionych na partyjne walki? Jaka gwarancja sumiennej gospodarki tą niewiadomą resztą?”

Zanim zaś te wszystkie sprawy należycie wyświetlone zostaną, partja i jej przywódcy znajdujący się w stanie oskarżenia wobec opinji publicznej — winni stąd wysnuć dla siebie nieuchronne konsekwencje.

Każde szanujące się społeczeństwo żąda, by mandaty jego przedstawicieli piastowały czyste ręce, i każde domaga się, by ręce podejrzanej czystości, gdy tylko wątpliwości się zbudzą, mandaty złożyły.

To, czego się dopuściła Endecja w stosunku do skarbu narodowego, nie podlega wprawdzie paragrafom kodeksu karnego,— lecz jest przestępstwem wobec moralnego kodeksu, jest wyzyskaniem ciężkich warunków zewnętrznych dla pokrycia konspiracyjnym welonem wielkiego politycznego szwindlu. W pewnych warunkach z całą łatwością można popełniać nadużycia; nie wynika stąd, by je popełniać było wolno.

Czy mężowie stanu Endecji ośmielą się dziś stawać w Izbie państwowej jako przedstawiciele oszukanego przez siebie społeczeństwa? Czy zrozumieją, że niewolno im w imieniu narodu mówić dziś, gdy najprzód przed narodem odpowiadać powinni — i to nie za popełnione błędy polityczne, co do których mogą być i są zdania podzielone, lecz za swe ciężkie winy, za znieprawianie życia publicznego od podstaw do szczytu.

I. Moszczeńska.

GALICJA.

Fr. Bujak: t. I. (Kraj, Ludność, Społeczeństwo, Rolnictwo). Lwów—Warszawa, 1908, str. 562

(Dokończenie).

Mówiąc o „ludzie” autor robi trafną uwagę, jaka różnica zachodzi między idealnym jego upostaciowaniem, jako osi życia narodowego i jego przyszłości, a rzeczywistością. Bujak przyznaje ludowi olbrzymią siłę

Władysław Gacki.

PRZYKRĄ RZECZ!

Wacław przyjmował gościa po długim niewidzeniu. Znali się od dzieciństwa, kolegowali przez długi szereg lat; jak mówią: „dużo wiedzieli wzajem o sobie” — i byli w jaknajlepszych stosunkach. Zaledwie od roku przestali się bliżej komunikować. Gość zjawił się niespodzianie i był mile powitany. Rozmowa toczyła się banalna, przerywana czynnością nalewania herbaty i częstowaniem się papierosami. Wszczynana rozmowa stopniowo urywała się: tematy „ogólne” były już wyczerpane. Godzina stawała się późna. Głęboka cisza nocy, nikły blask lampy, przysłonięty ciężkim abażurem, usposabiały raczej do skupionego myślenia, niż do ożywionej dyskusji...

Chwile milczenia powtarzały się coraz częściej, stawały się coraz dłuższe. Wytwarzał się nastrój nieokreślonego oczekiwania: nic dotychczas nie mówili o sobie. Zamieniali spojrzenia, jakby pytając się wzajem: kto będzie pierwszy?... Wszak pierwsza nieufność już minęła — mogli mówić, obadwaj pragnąc w danej chwili coś powiedzieć o sobie, dowiedzieć się — jeszcze więcej...

Gość zajmował miejsce w rogu pokoju, w głębokim fotelu.

— Przykra rzecz!... aha, właśnie chciałem ci to opowiedzieć... Jesteś usposobiony do słuchania? — Dodał po chwili, zmieniając nagle ton:

— Miałem przykry wypadek—to zdanie rzucił, jakby od niechcenia.

— Słucham cię.

— To było mniej więcej rok temu, — mówił gość tym samym niedbałym głosem. — Opowiem ci tylko fakty; psychologja ich wydaje mi się zbyt złożoną, bym mógł ją rozwinąć... A wiesz, że jestem przyzwyczajony, choćby przez mój fach, do ścisłego sposobu myślenia; w zawiłościach psychologicznych nie orjentuję się: zbyt mało w tej dziedzinie wiadomych, bym mógł nimi operować...

Po krótkiej przerwie ciągnął dalej:

— Było to w tej epoce mego życia, — zresztą niedawno — gdy ulegając... czemu?... — możesz to nazwać, jak chcesz — zeszedłem na bezdroża; uważasz — przestałem być człowiekiem solidnym!... Piłem, włóczyłem się nocami w towarzystwie, lub sam, unikając bliższych znajomych, moi... gwizdnąłem na wszystko. Trwało to kilka miesięcy. Ktoś może powiedziałby, że bawiłem się, — właściwie to było co innego... Wraz z innymi rzeczami zerwałem w tym czasie z moją narzeczoną. Jak wiesz, stosunek ten ciągnął się od dość dawna, a jednak...

— A jednak — wtrącił Wacław nieśmiało — o ile wiem, stosunek ten naprawił się.

— Tak. Pierwszy krok był zrobiony nie z mojej strony...

Gość wsunął się głęboko w fotel i wsparłszy głowę o wsporę, zapatrzył się w sufit. Wstrząsnął raptownie głową, zapalił papierosa i rozglądając się po pokoju, jakby czego szukał, rzucił krótko:

— Ale nie o tym chciałem ci mówić...

— Słucham cię.

Wacław zajął miejsce nawprost swego gościa.

— Jedna z miljona scen, odbywających się stereotypowo na rogach ulic: było to

żywotną, przejawiającą się w jego ekspansji gospodarczej (emigracji) i rozszerzaniu warsztatu pracy przez zakupywanie gruntów, ale nie upatruje w nim specjalnych zalet, które by go wyżej od chłopa francuskiego, czy niemieckiego stawiały. Te jednak zalety, które autor podnosi, a mianowicie oszczędność, pracowitość, przezorność i umiejętność zastosowania się do warunków istniejących, a nawet zwiększania w jeh obrębie swego dobrobytu, czynią z niego element odporny w walce o byt i ziemię. Uspołecznienie chłopa, przemiana pracownika na małym warsztacie rolnym na przedsiębiorcę rolnego, który potrafiłby obliczyć dochód w stosunku do wkładów pracy i kapitału, wychowanie konsekwentne i wytrwałe chłopa, oto żądania autora, które urzeczywistnić ma najbliższa przyszłość. Dokonać się to ma na drodze wytworzenia średniej własności włościjańskiej, założenia wyższej szkoły rolniczej dla włościan, a przedewszystkiem zapoznania się gruntownie ze stanem kwestji rolnej w kraju, przez szereg monografji.

Sam autor poświęca temu najważniejszemu dla Galicji zagadnieniu trzy piąte swojej pracy, uwzględniając przedewszystkiem warunki własności gruntowej włościańskiej.

Opierając się na spisie przedsiębiorstw z 1902 r. Bujak podaje ich liczbę na 1008541, a obszar przeciętny gospodarstwa włościańskiego na 4,25 hekt. ($7^1/_2$ morga). Przestrzeń ta niewątpliwie mała, jest przecież, dużo wyższą od tej, jaką obliczyć można było na podstawie danych z 1897 r. (4,4 morga) i przy niskich wymaganiach rodziny włościańskiej na jej utrzymanie wystarczyć może. Pamiętajmy przecież, że przeciętne otrzymuje się przy obliczeniach statystycznych, w rzeczywistości zaś 42,6% wszystkich gospodarstw, t. j. $426^1/_2$ tysięcy osad włościańskich nie dochodziły do 2 hektarów, a zatym do połowy tego średniego obszaru. Poza tym i w następnej kategorji osad o obszarze 2—5 hektarów, najliczniejszych, bo stanowiących 37,5% znaczna część do rozmiarów $7^1/_2$ morgów nie dochodzi. To zastrzeżenie, które już na podstawie podanych przez d-ra Bujaka, a przed nim d-ra Buzka cyfr uczynić można, niezbędnym jest przy ocenie posiadłości chłopskiej w Galicji, której połowa do niezbędnego minimum nawet nie dochodzi.

Stwierdzając wielkie rozdrobnienie ziemi w Galicji, autor ubolewa głównie nad brakiem średniej własności włościańskiej od 5—20 hektarów, która zarówno w Poznańskiem jak i w Królestwie znaczniej licznej jest reprezentowaną i baczną uwagę poświęca włościom rentowym, stawiając program, według którego należałoby je tworzyć i rozwijać. Pytamy jednak, czy stworzenie średniej własności włościańskiej stanowi środek, rozwiązujący kwestję agrarną w Galicji? Czy zapobiegłoby ono istnieniu proletarjatu rolnego na własności parcelowej?

Na to pytanie trudno odpowiedzieć stanowczo. Na średniej własności włościańskiej możliwym jest prowadzenie racjonalnej gospodarki — to prawda. Nadaje się ona do powiązania przez organizacje współdzielcze, co jest niewątpliwie bardzo ważną korzyścią i pewną część włościan organizuje i zamienia w przedsiębiorców. Czy polepszy to jednak położenie owych małorolnych gospodarstw, których jak widzieliśmy jest przeszło połowa? W jaki sposób ukształtowaćby się powinny losy tego licznego zastępu wobec powolnego rozrostu przemysłu? Na to pytanie autor w I tomie swego dzieła nie odpowiada, a raczej pytania tego nie stawia, obiecuje nam tylko zająć się specjalnie emigracją. Emigracja tak licznej rzeszy byłaby już przecież masowym exodus, jakąś wędrówką narodu poza kraj, a nie chwilowym środkiem ratunku, jakim jedynie być może nawet w krajach, posiadających własne kolonje zamorskie, których my nie mamy.

Zarobkowanie na średniej i wielkiej własności włościańskiej, oraz u właścicieli dóbr tabularnych nie byłoby również w stanie zaabsorbować sił masy włościańskiej i dać jej środki utrzymania obfitsze od dotychczasowych. Własność tabularna podupada i kurczy się. Gospodarstwa średnie zaś przedstawiają warsztat pracy dla rodziny włościańskiej i zatrudnić mogą zaledwie dorywczo nader małą liczbę robotników. O tych małorolnych zatym pomyślećby należało. Głos autora, który tak znakomicie zdaje sobie sprawę ze stosunków włościańskich w Galicji i w tej sprawie powinienby się odezwać. Czy nie byłoby tu wskazanym tworzenie gospodarstw zbiorowych na parcelowanych gruntach takich, jakie samorzutnie powstają już we Włoszech i dają dotąd bardzo dobre rezultaty na gruntach dzierżawionych przez robotników rolnych. Byłby to obok parcelacji sposób nader skuteczny dla podniesienia karłowych gospodarstw włościańskich i nowa forma przedsiębiorstwa rolnego, którego obszar dopuszczałby niewątpliwie racjonalną uprawę.

Bardzo dobrze opracowany rozdział o stosunkach roboczych rzuca pewne światło na istnienie proletarjatu bezrolnego w Galicji, jakkolwiek autor nie zajmuje się w I tomie tą kategorją wiejskiej ludności i wogóle nie wiadomo dotąd, o ile ona istnieje i w jakich rozmiarach, gdyż nikt nie zajmował się tą kwestją. Autor wylicza komorników pozbawionych własnej ziemi i żyjących wyłącznie z wyrobku, bandosów (robotników sezonowych) okok służby folwarcznej i ordynarjuszów. Ktokolwiek zaś mieszkał na wsi w Galicji wie, iż robotnicy bezrolni znajdują się tu podobnie jak w Królestwie. Z powodu małej intensywności uprawy w Galicji zatrudnia się względnie do przestrzeni mniej sił roboczych, niż na Śląsku czy Morawach. Gdyby nawet rachując się z postępem kultury, przyjąć wyższe cyfry zatrudnionych na roli robotników (1 na 2,5 hektarów), to i wtedy sił roboczych potrzebnych w rolnictwie okazuje się 2,200,000, a poza tym pozostaje 1,200,000 zbytecznych, które, jak się autor wyraża, „obciążają" ziemię i odpłynąćby powinny do przemysłu czy za granicę. Sprawa ta przedstawia się jeszcze gorzej, skoro weźmiemy pod uwagę, że koło 430,000 gospodarstw drobnych uzupełniać musi swoje dochody zarobkowaniem w obcych gospodarstwach rolnych, lub za granicą. Na uwagę wśród pracujących na roli zasługuje stosunek płci. W ogólnej sumie przewagę mają mężczyzni (1,741,206 m. i 1,640,990 k.), jakkolwiek różnica jest wogóle bardzo niewielka. Gospodarstwa zaś o przestrzeni 5 hekt. zatrudniają wyższą liczbę kobiet. Przyczyną tego jest praca mężczyzn w przemyśle i emigracja zarobkowa. Typ pracy rodziny na własnym kawałku roli przeważa, a mianowicie właściciele stanowią 30,8%, pomagający członkowie rodzin 61,5, służba i najemnicy 6,9. Są to wymowne cyfry odpowiadające na pytanie, czy małorolni lub bezrolni mogą znaleźć zatrudnienie w gospodarstwie wiejskim.

Przy nader starannym omawianiu wszystkich rodzajów pracy w gospodarstwie wiejskim jak hodowla zwierząt domowych, mleczarstwo, ogrodnictwo i właściwe rolnictwo, autor specjalną uwagę zwraca na gospodarstwa włościańskie, podobnie i ruch współdzielczy na wsi zajmuje go głównie w stosunku do nich. Rolnictwo galicyjskie doczekało się przeto w dziele p. Bujaka pełnego swego obrazu, obok obszernego omówienia wszystkich reform obecnej i pożądanej w najbliższej przyszłości polityki gospodarczo-społecznej.

Sprawozdanie nasze jakkolwiek wypadło obszernie nie wyczerpuje tysiącznej bodaj części podanych faktów i społeczno-gospodarczych poglądów autora. Zachęcić prze-

---

wieczorem; znęcony zgrabnością ruchów i szykownym ubraniem, poszedłem za nią; gdy obejrzała się raz i drugi, przyśpieszyłem kroku — zrównaliśmy się w bramie... Zajmowała dwa przyzwoite pokoje na trzecim piętrze. Zostałem u niej, i odtąd stałem się prawie codziennym jej gościem. Niekiedy przychodziłem tylko po to, aby nie być sam... Mogę nawet powiedzieć, że o ile to możliwe w podobnych warunkach, zżyliśmy się ze sobą... Rozumie się, nie chciałem jej zajmować czasu, więc proponowałem za każdym razem pieniądze... I wiesz? — niezarobionych, jak je sama nazywała, nie przyjmowała!... To mnie w niej ujmowało...

— Ciebie to dziwi?

— Czasami czułem w niej tyle smutku...

— A ona również nie widziała cię wesołym?...

Spojrzeli sobie w oczy badawczo.

— Tak, wesoły wtenczas nie byłem...

Gość zamyślił się.

— Nastąpiła przerwa — mówił dalej, wpatrując się w sufit. Kilka dni przesiedziałem w domu bezczynnie, przerzucając stare gazety, bawiąc się rewolwerem... Nie myśl zresztą abym myślał wtedy o samobójstwie...

— Nie, ja nie myślę.

Wacław poczuł na sobie badawcze spojrzenie. Zakłopotany, unikając tego spojrzenia, czekał, czy gość nie poprosi, aby mu wytłumaczył głębszą treść tego zaprzeczenia.

— Duszno tu u ciebie! — usłyszał po chwili. Otworzył okno. Gość przytłumionym nieco głosem mówił dalej:

— Wyszedłem pewnego wieczoru na miasto z zamiarem odwiedzenia jej. Na schodach trzeciego piętra, jak zwykle, zapaliłem zapałkę: zgasła, następna — również... Zniecierpliwiony chwyciłem za dzwonek i raptownie szarpnąłem. Przebiegła mi przez myśl komiczna kombinacja: tak zapewne dzwoni zadyszany, zasapany mężulek, gdy spodziewa się schwytać wiarołomną żonę na gorącym uczynku... Komizm chwili znikł, gdy, nie otrzymując odpowiedzi, przyłożyłem ucho do drzwi i usłyszałem ciszę, — tchnęło we mnie pustką, — to stanowczo było coś — złe przeczucie mną targnęło... Zapaliłem powtórnie zapałkę: drzwi były opieczętowane. Zeszedłem na dół, aby się dowiedzieć co to ma znaczyć. Wypadało zachować incognito: pamiętałem nazwisko lokatora z przeciwległych drzwi — to był dobry pozór: miałem tam interes, przechodząc, zauważyłem... Stróż objaśnił mnie krótko, że panienka, co tam mieszkała, otruła się przed trzema dniami i zabrano ją do szpitala, a że były jakieś długi, więc mieszkanie opieczętowano... Przykra rzecz! Wiesz, nie jestem przeczulonym, nie poddaję się zbytnio wrażeniom, ale w tym wypadku... Zamroczyło mnie trochę... Pobiegłem do najbliższej cukierni i poprosiłem o dzienniki z trzech ostatnich dni. Przeczytałem wszystkie ogłoszenia, lecz napróżno— żadnej wzmianki!... Znużony tym szukaniem, wróciłem do domu. Nie myśleć o tym — było nie sposób... Rozumiesz, — miałem przykrą noc... Nazajutrz poświęciłem cały dzień na przejrzenie codziennych pism z trzech dni ubiegłych... Przykre poszukiwania, co?... Znalazłem nareszcie — krótką wzmiankę — nazwiska nie pamiętam, miała lat 22 — wskazany był szpital, dokąd ją zabrano...

— Odwiedziłeś ją?

— Było powiedziane: stan Lucyny... Jak ona nazywała się?... nie mogę sobie przypomnieć... no, mniejsza o to!... Stan był beznadziejny... Zresztą, jaki byłby cel moich odwiedzin?...

— Zapewne, zapewne—wobec stanu beznadziejnego?!—odparł Wacław tonem, kryjącym złośliwy śmiech.

to należy czytelnika do przestudjowania samej książki, której tom I stanowi już całość. Pożądanymi byłyby częstsze zestawienia ze stosunkami Królestwa i zaboru pruskiego, czego przecież autor dokonać może na końcu dzieła.

D-r Z. Daszyńska Golińska.

Trust metalurgiczny.

Społeczna opinja rosyjska od dłuższego czasu zajmuje się sprawą trustów i syndykatów, nawołując rząd do zajęcia wyraźnego stanowiska wobec coraz silniej zarysowującej się tendencji w przemyśle do łączenia się przedsiębiorstw rozmaitych gałęzi w potężne organizacje syndykalne i trustowe. Bezpośrednią pobudką do podniesienia alarmu w prasie były pogłoski o tworzeniu się na południu Rosji trustu przedsiębiorstw metalurgicznych, pogłoski które zdaje się wkrótce staną się faktem. Jedno z pism rosyjskich dobrze na ogół poinformowanych w sprawach handlu i przemysłu doniosło, iż na jesieni r. b. pod skromną nazwą „Rosyjskie towarzystwo zakładów metalurgicznych i kopalń rudy", rozpocznie kampanię przeciw konsumentom potężna organizacja, obejmująca 10 największych zakładów metalurgicznych południa Rosji. Wiadomość ta powinna była zainteresować i naszą prasę, gdyż, jak zobaczymy dalej, trust ten będzie miał ogromny wpływ na rozwój naszego przemysłu metalurgicznego. Mimo to prasa codzienna, z małymi wyjątkami, prawie wcale tą sprawą się nie zajmowała. Warto jednak zastanowić się nad rolą i znaczeniem tego trustu, nad jego stanowiskiem wobec obowiązującego w państwie prawa, nad stosunkiem tej organizacji do przemysłu Królestwa Polskiego, wreszcie nad sposobami, którymi rząd mógłby ograniczyć jej działalność, o ile by ta przybierała kierunek dla ogółu szkodliwy.

Zjednoczenia w przemyśle, tak powszechne w Ameryce i na Zachodzie, u nas i w Rosji będące dotychczas dopiero w zaczątku, w ostatnich latach rozwijać się poczęły bardzo szybko. Praktyka gospodarcza Zachodu wytworzyła kilka typów organizacji przedsiębiorczych pod rozmaitymi nazwami, jako to syndykaty, kartele i trusty. Już te różne nazwy wskazują na znaczne różnice pomiędzy tymi organizacjami, które jednak mają jedną cechę wspólną: są to związki przedsiębiorców jednej i tej samej gałęzi wytwórczości, mające na celu wytworzenie dla siebie i dla danej gałęzi przemysłu pomyślniejszego położenia gospodarczego za pomocą solidarnej akcji.

Organizacje te, będące naturalnym etapem rozwoju gospodarki kapitalistycznej, mnożące się z dnia na dzień, niemal nie mają w zasadzie przynajmniej egzystencji prawnej. Istotnie bowiem prawodawstwo rosyjskie nie uznaje żadnych porozumień przedsiębiorców. Gdy jednak syndykaty zaczęły powstawać, prawo musiało zająć określone wobec nich stanowisko. Sprawę syndykatów regulować mają artykuły 913 i 1180-y kod. karn. Pierwszy z nich mówi o „zmowach (staczkach), tranzakcjach lub innych porozumieniach, dążących do podniesienia cen na przedmioty spożycia"; drugi — mówi o „zmowach kupców i przemysłowców w celu podniesienia cen nietylko przedmiotów spożycia, lecz i innych towarów niezbędnej potrzeby, lub też w celu niepomiernej obniżki cen i t. d." Ponieważ przedmioty spożycia takie, jak produkty rolnictwa nie mogą być objektem dla syndykowania przedsiębiorstw przemysłowych, wobec tego do syndykatów przemysłowych odnosić się może tylko art. 1180, jako szerszy, niż art. 913, który ma raczej na widoku porozumienia niższego rzędu o charakterze spekulacyjnym, dążące do tego, aby przez skupowanie zapasów towarów wywoływać ich brak, podnosić ceny i tą drogą szybko realizować zyski. Nauka i praktyka rozróżnia tego rodzaju czasowe organizacje od syndykatów i trustów. Niedostateczność przepisów prawnych w tej dziedzinie sprawia, iż praktyka sądowa nie stosuje tych artykułów do właściwych syndykatów przemysłowych. (Raz tylko zastosowany został art. 1180 w sprawie gorzelników syberyjskich w r. 1877). Życie samo i taktyczny rozwój syndykatów wskazują, że prawo musi być doń zastosowane, ze przepisy żadne nie mogą stłumić koniecznej ewolucji, lecz że powinny jeno ująć ją w pewne karby i poddać kontroli. Obecne syndykaty istnieją zresztą pod formą ukrytą albo jako towarzystwa akcyjne lub jako związki zawodowe wytwórców dla obrony wspólnych interesów na zasadzie ustawy normalnej o związkach zawodowych. Prawodawstwo jednak powinno uregulować kwestję syndykatów i trustów specjalnie, aby pod osłoną niewłaściwych dla nich form i ustaw, nie przeobraziły się one w organizacje monopoliczne i szkodliwe dla interesów ogółu. Szkodliwa działalność trustów, syndykatów i karteli przejawia się zazwyczaj w następujących kierunkach: 1) sztuczne powiększanie kapitałów zakładowych, maskujące istotny ich majątek; 2) dążność do nadmiernego śrubowania cen i 3) wywóz produktów za granicę po cenach zniżonych z pominięciem istotnych potrzeb rynku wewnętrznego. Niczem niehamowana działalność w tych kierunkach, może być przyczyną wielu objawów szkodliwych dla racjonalnej gospodarki społecznej, jak tego dowiodła praktyka w Ameryce Północnej, ojczyźnie potężnych związków przedsiębiorców. Prawodawstwo zatym, nie próbując, bezskutecznie zresztą stawiać tam naturalnemu biegowi rozwoju gospodarczego, może i powinno ująć te organizacje w pewne karby i kontrolować dla dobra ogółu ich działalność.

Sztuczne powiększanie kapitałów przy organizacji trustów ma swą przyczynę w tym, że trust chcąc przyciągnąć jaknajwięcej przedsiębiorstw danej gałęzi, skupuje ich akcje po bardzo wysokich cenach, dalej że koszta organizacji trustów są bardzo duże, wreszcie w tym, że trust chce ukryć przed skarbem olbrzymią stopę zysku, rozkładając go na wielki kapitał zakładowy. W zwalczeniu tego rodzaju nadużyć zainteresowane jest zatym, i samo państwo, które może ograniczyć je przez narzucenie trustom obowiązku jak najszerszej jawności działań i rachunków, regestracji, i t. d. i przez kary za naduzycia.

Trudniejsza jest walka w drodze prawodawczej ze śrubowaniem cen. Państwu dopomóc tu może całe społeczeństwo przez zakładanie potężnych stowarzyszeń spożywczych, zaś państwo poprzeć może koalicje spożywców przez racjonalną politykę celną — przez obniżkę lub czasowe zniesienie ceł protekcyjnych, aby konkurencją towarów zagranicznych zmusić trust do obniżki cen. Lecz i tak walka z trustem będzie mało skuteczna, o ile będzie on forsował wywóz towarów zagranicę. Ta strona sprawy wiąże się ściśle ze stosunkami międzynarodowymi i z kwestją traktatów handlowych. Traktaty handlowe oparte na zasadach „największego uprzywilejowania" powinny być uzupełniane klauzulą o cłach karnych na towary, których wywóz jest pośrednio lub bezpośrednio premjowany. Takim właśnie pośrednim premjowaniem wywozu jest tam eksport zagranicę w celu odbicia strat stąd wynikających na wysokich cenach wewnątrz kraju. Względem cukru premjowanego już w r. 1888 konwencję tego rodzaju podpisały Stany Zjedn. Anglja, Holandja, Niemcy, Belgja, Włochy i Hiszpanja.

Do tego samego celu państwa mogą dążyć na drodze międzynarodowego porozumienia. Już dziś widoczna jest tendencja do zapewnienia normalnego stanu rynkowi międzynarodowemu, zagrożonemu z tej strony przez politykę rozmaitych kombinacji przemysłowych. Tą czy drugą drogą państwa mogą stworzyć należytą korrektywę tendencji trustów do taniego wywozu towa-

---

Była chwila milczenia.

— Wtenczas całą tę sprawę przyjąłem zbyt do serca — mówił dalej gość — a przyznasz chyba, że nie mogę uważać siebie za sprawcę tego wypadku? Tysiące innych przyczyn musiały złożyć się na to!... Byłem jednym z setki, nie powiem z tysiąca, nie chcąc uchybić jej pamięci!... To sentymentalizm, wyszukiwanie i przyznawanie sobie urojonych win!... Byłem może jedną kroplą z wielu, wielu!...

— Aha, więc byłeś tą jedną kroplą z wielu? Czy nie przypuszczasz, że mogłeś być właśnie tą kroplą, która zaważyła?

— To bardzo hipotetyczne! — odparł gość.

— Wszak dawałeś jej do zrozumienia, że za wszystko, co od niej bierzesz, chcesz płacić i płacisz — bo masz na to, a jednak brałeś od niej nietylko ciało?... zresztą, wybacz, jeżeli jestem niedyskretnym...

— Owszem, proszę. Odkrywam w tobie nowe zdolności: byłbyś niezłym sędzią śledczym... Powiedziałem ci już tak dużo, więc ci powiem jeszcze cokolwiek... Tak, chodziłem do niej nietylko po to; w tej samej epoce odwiedzałem inne... Ta słuchała mnie — wiesz, to czasami dobrze: być dobrze słuchanym... Dzieliłem się z nią nastrojem, który przeżywałem... Ha, ha, ha — to nawet śmiesznie brzmi: pierwszy raz w życiu zwierzałem się... Mówiłem jej o sobie, że boję się... Chcesz wiedzieć, czego?... Boję się w sobie zwierzęcia, tego głodnego potwora z krwawymi ślepiami, który ściska mnie za gardziel i rzuca w objęcia pierwszej lepszej, w kałużę cuchnącą... Kłamałem wobec wszystkich, aż przyszła chwila, gdy kłamać dłużej nie mogłem!... Powiedziałem jej to wszystko i to, że żyjąc z nią, chodzę do innych... Gładziła moje włosy i raz poczułem na swojej dłoni łzy...

— I za każdym razem proponowałeś jej pieniądze?

— Bo ona z tego żyła...

— Z tego?... z łez?! ha, ha, ha, ha — Jaki ty solidny człowiek: za wszystko płacisz!...

Wacław zaśmiał się powtórnie, głośno, wyzywająco.

— Cóż cię tak rozśmieszyło? Możebyś krócej powiedział, o co ci chodzi!...

— Mnie?... — o tę przykrą rzecz — tak zacząłeś swoje opowiadanie, przyznaj, że ten wyraz słyszysz w sobie częściej, — czasami, gdy noc tylko patrzy w ciebie—i może to coś — ta przykra rzecz czaszkę ci rozsadza?!... A gdyby tak było?... — dodał po chwili przebiegle pieszczotliwym głosem.

— Cóż więc mam robić?! — rzucił gość z wściekłością, źle hamowaną. — Iść za jej śladem?...

— Aha, więc ci to może przychodziło na myśl?... rehabilitacja na poczekaniu?...

— To byłoby śmieszne! W gruncie rzeczy nie rozumiem, o co ci chodzi! Potępiasz stosunki płciowe z prostytutkami? — Któż je pochwala?!

— Zbyt dużo mi powiedziałeś — może już żałujesz?

Spojrzeli sobie w oczy ze szczerą nienawiścią.

— Proszę cię mów, o co ci chodzi.

— Streszczę się, bo widzę, że cię nudzę. Być może odegrałeś w życiu Lucyny mniejszą rolę, niż sam przypuszczasz, lub—prze-

rów z uszczerbkiem dla rynku wewnętrznego.

Widzimy więc, że niepomierne apetyty trustów i syndykatów, świadoma akcja społeczna, prawodawstwo i porozumienia narodowe mogłyby hamować w znacznym stopniu. Dlatego też prasa rosyjska wszelkich odcieni nawołuje rząd do zajęcia wyraźnego stanowiska wobec trustu metalurgicznego, w którym widzi poważną groźbę dla konsumentów i równowagi gospodarczej państwa.

Istotnie projektowany trust będzie potęgą ekonomiczną: rozporządzając olbrzymim kapitałem, regulować będzie około 89% produkcji żelaza południa Rosji i około 55% produkcji całego państwa. Zatrudniać on będzie około 40 tysięcy pracowników rozmaitych kategorji. Jeśli trust ma zgoła się uniezależnić od obcych przedsiębiorstw pod względem rudy i węgla, to stanie się faktycznym panem rynku wewnętrznego.

Dla przemysłu polskiego, trust rosyjski przedstawia groźne niebezpieczeństwo. Nasz przemysł metalurgiczny, jak wiadomo zależny jest od bogatych kopalń Zagłębia Dońskiego i zagranicznych. Różnica kosztów produkcji surowca w Dąbrowie i nad Donem układa się już teraz niekorzystnie dla metalurgji polskiej, a przy truście, który dążyć będzie do obniżki kosztów produkcji, ułoży się jeszcze gorzej pomimo różnic taryf kolejowych. Jeśli nadomiar przestaną istnieć lub wejdą w porozumienie z trustem syndykaty „Prodamet” i „Gwóźdź”, które normują ceny belek, blachy i żelaza uniwersalnego oraz sprzedaż drutu, to konkurencja Zagłębia Dońskiego może być zabójczą dla naszej metalurgji a dalsze losy jej zależeć będą od stosunku trustu do polskiego przemysłu metalurgicznego. Lecz sądzić o tym na razie nic nie możemy, gdyż zamiarów trustu dotychczas organizatorowie jego nie ujawniają. Bądź co bądź kraj nasz i państwo staną wkrótce wobec nowej potęgi gospodarczej, która zmienić może zasadniczo dotychczasowe stosunki w najważniejszej gałęzi przemysłu. Kapitalizm robi nowy krok na drodze rozwoju, obowiązkiem państwa winno być nad drogą tą odrazu możliwie zapanować i pokierować żywiołowy pęd ewolucji zgodnie z interesami ogółu, a przynajmniej zredukować do minimum szkodliwe pokusy tego trustu i innych podobnych organizacji.

Kaz. Kas.

„Dobry ksiądz”.

(Echa wiejskie).

W powiecie Rawskim w ziemi Piotrkowskiej we wsi parafjalnej Łęgonice, zdarzyło mi się widzieć prześliczną, do pałacu podobną plebanję świeżo postawioną. Plebanja owa liczy kilkanaście pokojów, ma ozdobne wieżyczki, schody wspaniałe i t. p. Stoi ona naprzeciwko miłego, modrzewiowego kościołka, który bardzo a bardzo domaga się podtrzymania i reperacji. Cmentarz z jednej strony nieogrodzony zupełnie, sąsiaduje bezpośrednio z polem proboszcza i służy za pastwisko dla księżego inwentarza, wcale niezłe zresztą, może dlatego, że był to dawniej cmentarz grzebalny, o czem świadczą pomniki i ślady mogił. Część cmentarza od drogi jest ogrodzona, ale tylko niby, bo w drewnianym parkanie brak wielu kołków i nierogacizna z łatwością przez dziury w płocie wchodzi. Zdziwiło mnie trochę, że naprzeciwko tak opuszczonego domu bożego, i dawnego cmentarza wznosi się jednopiętrowy pałacyk, w którym mieszka sługa Tego, który przez czas swego życia ziemskiego „nie miał gdzie złożyć głowy”. Ale myślałem zrazu, że może się znalazł jaki możny pan, który miał taką fantazję, że proboszczowi w swej wsi wystawił takie zbytkowne i wielkie mieszkanie. Wiadomo, ludzie bogaci miewają czasem dziwaczne i zgoła niemądre pomysły; przyszło mi też na myśl, że może był jakiś legat z dawnych czasów na wystawienie tej plebanji. Ano, trzeba się jednak upewnić, jak to było z tą łęgonicką plebanją.

Wypytać się było trudno, bo był czas żniw i wieś była wyludniona, ale zdarzyło się, że gdym się przyglądał z należnym tak wspaniałemu gmachowi respektem owej plebanji, przechodziła z wiązką chróstu jakaś kobieta. Była młoda ale zbiedzona i wychudzona; z oczu patrzyło jej dobrze i sprytnie; zacząłem się jej pytać.

No i dowiedziałem się, że plebanję tę wystawiła swemu duszpasterzowi łęgonicka parafja, że kosztowała ona blisko 30 tysięcy rubli, że zbierano na nią podatek z dymu, choć włościanie chcieli, żeby była składka z mocy.

— Dużo było lamentu jak przyszło do zbierania owych składek, ale najgorzej to było z jedną komornicą, wdową.

— A cóż to było?

— Ano, jak przyszło płacić składkę, a ona nie miała na to nic zebranego, sołtys zabrał jej ostatnią poduszkę, a tu akurat pod zimę się miało.

— Jakto? więc na ten księży pałac, aż taką krzywdą zbierano pieniądze?

— I—tak źle nie było,—uspokoiła mnie kobieta; miała szczęście, sołtys był ludzki człek i on zatrzymał u siebie poduchę, założył za nią składkę ze swoich, a potem ona kądzielą zarobiła i oddała mu. Ale zawsze ludzie sarkali bardzo na dużą składkę, widziało im się, że ksiądz proboszcz mógł jeszcze mieszkać w dawnej plebanji, boć nic jej nie brakowało i dość duże miała pomieszczenie, jeno że drewniana była, no i tak na dwór pański jak ta, nie wyglądała, no i ksiądz mówił, że w niej jest „duch” niezdrowy, bo kilku ojców duchownych raz po raz w niej umierało. Ale nam parafjanom to było żal okrutnie, jak tę dawną plebanję rozbierali.

— I cóż się z drzewem z niej stało, czy było jeszcze na co zdatne?

— A juści — drzewo było całkiem zdrowe, kupił je ksiądz proboszcz nasz dla takich pobożnych pań z Nowego Miasta. Ot ten budynek co tam dalej stoi, to z tego drzewa.

— A te pobożne panie nie boją się mieszkać w plebanji z takiego nieszczęśliwego drzewa zbudowanej.

— I nie. Nasi gospodarze chcą, żeby tam była szkoła, ale nie mogą się zgodzić bez to, że to i dziedzic i ksiądz chcą tą szkołą rządzić, a oni mówią, że jak się ich dzieci tam mają uczyć, to oni powinni mieć głos w tym.

— Jakto? więc ta wielka wieś 127 dymów licząca, jak tu na tabeli pisze, nie ma dotąd szkoły?

— A niema—odpowiedziała smutnie kobieta.

— A ludzie tu czytać i pisać umieją?

— Jest paru takich co w wojsku byli, to ci tam pokazują jedni drugim, ale mała z tego pociecha.

— A gazety przychodzą tu do was jakie?

— Ani jednej. Czasem na odpuście ktoś kupi jaką pobożną książkę, tyle tego.

— A ksiądz wam gazet nie daje?

— Nie.

— A chodzi tak po chatach, rozpytuje się o wasze sprawy?

— I nie;—gdzieby tu dobrodziej miał na takie chodzenie czas, on się przecie bez tydzień do kazania niedzielnego musi przykładać, a jak ma chwilkę czasu, to se do dworu przeńdzie. Co on by tu z nami robił? Dobry ksiądz, jeno prędki bardzo ale nie to co dawniejszy; tamten to o bele co chłopów po pysku prał.

— Tak,—no, a wasi mężowie co na to?

— Ano cóż, „musiały” przyjąć napomnienie, toć to zawdy ojciec duchowny. Ale

---

ciwnie. To tajemnica, dla wgłębienia się w którą masz więcej danych odemnie. Prawda? Brałeś jej łzy i przy pożegnaniu sięgałeś po woreczek?... Mam wrażenie, że na swoim bezdrożu pozostałeś zupełnie solidnym człowiekiem... Teraz porzuciłeś swe „bezdroża”, powróciłeś do pracy, znów jesteś narzeczonym... I z tym trupem wypada ci w jakiś sposób skończyć? — bez urazy dla siebie — prawda?... I rehabilitując się wobec siebie, szachrując — soit dit sans l'offense! — Zresztą to jest szacherka w bardzo dobrym tonie: dowodzi odporności życiowej!... He, he, inteligiencja przecież do czegoś zobowiązuje?... przynajmniej do tego, by móc wszystko przerozumować... Na cóż u djabła zdałoby się, skoro nawet dobrobytu zapewnić już nie może?. I ty, poczciwcze, radbyś wierzyć, że w owym stosunku nie było nic głębszego, — że powinieneś był jej płacić, bo była prostytutką — że od niej nic nie wziąłeś, zresztą — że byłeś na bezdrożu — w nienormalnym stanie, nie byłeś sobą, że wszystko działo się jedynie dzięki rozdrażnieniu, a co za tym idzie — liczyć się nie powinno?... I chciałbyś w to uwierzyć, bo znów chcesz być solidnym człowiekiem, znów jesteś narzeczonym!.. He, he, he, — to jest bardzo w stylu inteligientnego człowieka...

Zniżył nieco głos i wciąż wpatrzony w gościa mówił dalej:

— Jako życzę ci dobrze, więc ci powiem ot co: ze względów praktycznych powinieneś być zadowolonym, że tak się stało... Wyobraź sobie taką możliwość: wracasz w nocy w towarzystwie narzeczonej, czy żony — z balu, koncertu — drobne ramię tulisz do swej piersi, — serduszka, spłoszone przeczuciem rozkoszy, uderzają szybciej... Słodkie chwile: niejeden już dla nich porzucił „bezdroża”! he, he... Nagle, na rogu ocierasz się w przejściu o czarną sylwetkę i... w tej zwykłej rogówce — poznajesz tę samą — z epoki twego bezdroża... One zwykle są dyskretne, prawda? — ta na ten raz zapomina o obowiązującej ją dyskrecji: ujmuje cię z drugiej strony pod ramię, spogląda ci w oczy — bardzo niepokojąca sytuacja!... spogląda ci w oczy i przypomina ci smutek tych długich, beznadziejnych dni — he, he, — z epoki bezdroża?!

— Podła buchalterja!

— Przepraszam cię,—inteligiencja zobowiązuje nas również do konsekwencji! To byłaby bardzo przykra sprawa, wobec zaś faktu, który się stał, nie grozi ci już ta możliwość!... A to nawet ciekawe, która z tych kobiet miałaby do ciebie większe prawa?!...

— Nie pozwalam ci dalej mówić! — rzucił głosem dość podniesionym, surowym. Roziskrzone spojrzenie przesunął po nieruchomej twarzy Wacława i wsunąwszy się głęboko w fotel, zapatrzył się w sufit.

Trwało długie milczenie. Zegar wydzwonił godzinę.

Gość powstał, zbliżył się do Wacława, ujął jego dłoń i rzekł równym, spokojnym głosem, spoglądając na zegarek:

— Niepotrzebnie zarwaliśmy taki kawał nocy.

— Tak, niepotrzebnie—odrzekł Wacław, odprowadzając gościa do drzwi.

jak wyjeżdżał to go tu nikt nie żałował. Temu nijakiej przygany nimasz. O kościół dba, nakazał gospodyniom, aby się złożyły i utkały z wełny takie samodziałowe obrusy na wszystkie ołtarze, zrobiłyśmy to. To nam pięknie podziękował. Dobry ksiądz, jeno prędki i do gniewu skory, ale jak mu się nie przeciwić, to dobry.

— Tak, dobry ksiądz, przyświadczyłem jej drwiącym tonem i podziękowawszy za objaśnienia poszedłem swoją drogą, rozmyślając nad tym, jak wiele jeszcze czasu będzie potrzeba, aby uświadomienie ludowe położyło wszędzie kres niewłaściwym ocenonom i wadom.

St. Pier.

NA DOBIE.

Wobec sezonu muzycznego.

Kiedy przed 7-u laty powstawała Filharmonja—znaczna część ogółu była zaniepokojona losami „Towarzystwa Muzycznego”. Instytucja czysto artystyczna służyła krajowi w ciągu lat 30-u i podupadła jedynie z powodu emulacji Noskowskiego z Rajchmanem. Po paru latach—przy reorganizacji „Tow. Muz.”—antagoniści się pogodzili. Noskowski poszedł „na pensyjkę” p. Rajchmana, no i... naturalnie, stał się wrogiem tych, którzy go nie wybrali ponownie. Rzecz oczywista — ze o fuzji Towarzystwa z Filharmonją, dopóki Rajchman był dyrektorem a Noskowski drugim kapelmistrzem—nie mogło być mowy. Obecnie sytuacja się zmienia: główny inscenizator upadku poważnej kultury muzycznej—opuścił Filharmonję—i sprawa połączenia się Filharmonji z „Tow. Muz.” wchodzi w fazę możliwości a nawet jest pożądaną. Taka instytucja, jak Filharmonja, musi poza koncertami kierować *ogólnym* prądem muzycznym w Warszawie *przez szkołę*. Otóż „Tow. Muz.”, posiadające dobrze rozwiniętą uczelnię, piękną bibljotekę, świetnie zorganizowane sekcje — Chopina, Moniuszki i t. d. Mogłoby się stać wielką siłą subsydjalną Filharmonji, koncentrującej w sobie dwa tak poważne ciała, jak orkiestrę symfoniczną i operę. „Filharmonja”, Opera i „Towarzystwo Muz.” — jako *disjecta membra*—w tak względnie mało muzykalnym mieście nie mogą prosperować swymi własnymi środkami, *bez subsydjum*. Tymczasem—zlanie się materjalne i ideowe dwu pokrewnych instytucji, może stworzyć potężne *ognisko artystyczne*, które będzie mogło egzystować własnymi siłami. Jak fama niesie,—długi i zaległości Filharmonji będą przez hr. Zamojskiego umorzone. Powstanie wtenczas kwestja *prawna* fuzji instytucji i czysto artystyczna, powiem nawet — *ideowa* wyboru kierownika *artystycznego*. *Akcentuję* sprawę wyboru wielkiego artysty, bo wypadki ostatnie w Filharmonji i znijście jej z wyżyn Parnasu powstały właśnie na tle zależności od „niemuzykalnego p. Rajchmana, oraz dobieranych przezeń cudzoziemców-dyrygientów,—ludzi przeważnie średnio uzdolnionych. Zresztą—*przepracowanie* orkiestry, z którym się nie rachował Rajchman, wprowadzenie fermentu kłótni w stosunki wewnętrzne, brak wspólnoty artystycznej pomiędzy członkami instytucji—musiały wytworzyć z niej mechanizm *martwy*, żyjący techniką loteryjnego przedsiębiorstwa.

Jesteśmy zatym przed świtem sezonu... horoskopy są niezłe: liczni kompozytorzy (młodsi) powrócili do kraju i zakładają pismo—„Młoda muzyka”. Chcą wypowiedzieć się jako twórcy... Orkiestra i ciało operowe—uszczęśliwione ustąpieniem Rajchmana — rwą się do pracy. Pozostaje tylko poważne obmyślenie *zlania się Filharmonji* z Tow. Muzycznem pod kierownictwem Polaka-artysty.

Nie mam prawa do rozdawania posad. Ale — jako muzyk, znający uzdolnienie wszystkich polskich artystów, ośmielam się przypomnieć Warszawie o tych, którzy *mają największe prawo do kandydatury*, ale sami nie będą się o nią ubiegali. Jest ich nawet kilku: Paderewski, Mieczysław Karłowicz, Henryk Melcer, Antoni Sygietyński...

Co do kierowników opery—należy przywrócić Chodakowskiemu stanowisko, które opuścił wobec „interwencji” Rajchmana... Lepszego kandydata—nie znam.

Rzucam na szpalty *Prawdy* moją zasadniczą myśl: „Obecna chwila jest najodpowiedniejszą do połączenia Filharmonji z Tow. Muzycznem”. Co o tym myślą koledzy-muzycy, orkiestra, prasa?

Antoni Miller.

Dożynki arcypasterskie.

> Kto zbiera we żniwa, syn mądry jest: ale kto *śpi* w lecie, syn pohańbienia. (Ks. przyp. X. 5).

Podobno przed rokiem pewien przyjaciel Arcybiskupa czytał 3-ci rozdział księgi Ekklesiastes, który tak brzmi: „Wszystkie rzeczy mają czas, a swym zamierzonym biegiem przemija wszystko pod słońcem: czas narodzenia i czas umierania, czas zabijania i czas leczenia(?), czas płakania i czas tańcowania, czas wojny i pokoju”.

„A teraz mamy czas dożynek przerwał ks. Chelmicki i będziemy obchodzili „Dożynki pasterskie”.

I oto dnia 21/IX szczęśliwa Polska przeczytała w Kurjerach opis uroczystości dożynkowej pasterza, podczas której uczestniczył delegat robotników chrześcijańskich wraz z hrabiami i dostojnikami. Nie składała jednak hołdu ani młodzież polska, ani żadne stronnictwo, oprócz paru z grupy realistów.

Arcypasterz hr. Popiel, dufny słowom pisma: „Potykaniem dobrym potykałem się, zawodum dokonał, (bo wszystkich — zawiódł?) wiaręm dochował” (Tym. 3,7), zgodził się na obchód jubileuszowy, pomimo stanu zdrowia. Prawdopodobnie, przyjmując w r. 1883 palljusz arcybiskupi, wszedł znów w nowę z następującym wersetem Ap. Pawła: „Wierna mowa. Jeżli kto biskupstwa pożąda, *dobrego dzieła pożąda*. Ma tedy być biskup nienaganiony, mąż jednej żony, trzeźwy, roztropny, obyczajny, *goście ochotnie* przyjmujący, ku nauczaniu(?) sposobny, nie bijący, nie chciwy, *nie nowotny*, aby podniósszy się w pychę nie wpadł w sąd djabelski” (Tym. 3,1—5). Zgodnie z powyższym, jak wiemy, arcypasterz nigdy „nie był nowotny”, był „trzeźwym” politykiem, ku nauczaniu zachęcał... gości ongi, „kiedy był młodszym”, ochotnie przyjmował. Prawda! nie miał żony! No ale to dlatego, że święty Paweł zmienił zdanie przez bullę Hildebranda.

„Nie nowotne” rządy dusz ks. biskupa — wydały nareszcie swój rezultat bilansowy „w dożynkach”, które my, wolnomyśliciele, spotykamy napewno z większą *animarum laetitione*, niż ultrakatolicy.

Wyjaśnię to...

Gdybym patrzył na 25-lecie „żniwa pasterskiego” okiem katolika, dojrzałbym przedewszystkiem groźne objawy zbliżającej się przepowiedni św. Ireneusza: „Fides depopulata”. Snopy pracy katolickiej nie mają już ziaren, naród nie ma łączności z pasterzami; t. zw. niewiara szerzy się z przerażającą szybkością. Modernizm katolicki wcisnął się przez wszystkie szpary rozklekotanego papizmu. Naród gardzi wścibstwem papieży, omija milczeniem jego encykliki, lub je zbywa krótkimi krytycznymi uwagami. Jeleński nie przesadza mówiąc, że „lada dzień — a nie będziemy mieli ani jednego prawdziwie katolickiego pisma” (*Rola* 36). Jakiż obraz, pełen śmiecia i gruzów przedstawia wewnętrzne życie Kościoła polskiego? Marjawitów napastują tłumy rzezimieszków—w imię „zasady” katolickiej! Przez upór Popiela—odpada 200 tys. katolików. Potępienie dzieł Szecha wytwarza szechizm; wycofanie „Parakleta”—potęguje wśród młodych księży modernizm teologiczny. *Kurjer Warsz.* przed paru dniami drze szaty, że b. mało jest aspirantów do seminarjum! Siła moralna Kościoła—staje się *zerem*. Biskupi nie mogą walczyć orężem „ducha wiary i prawdy”, lecz wyjęli jak zalękły Piotr miecz: wytoczyli (*po raz pierwszy* w tym wieku) procesy przeciwko Niemojewskiemu, Mikłaszewskiemu i Kurejnszowi przed sąd świecki! Czyż można złożyć większe świadectwo swej niemocy moralnej?

Tymczasem na głowy Marjawitów spadają klątwy wbrew radzie Biblji: „dusza, która błogosławi, utyje” (12.25) Inaczej było za dni Ap. narodów: „A kościoły *utwierdzały się wiarą* i codzień ich w liczbę przybywało”. (D. A. 16) A dziś? Mnożą się kaplice Marjawickie i w Sosnowcu istnieje sekta „kotów”. Podobno przez całe swe życie pasterz miał na oku nast. tekst: „W zakonie napisano jest: iż przez obce języki i obcymi usty będę mówił ludowi temu [1]”. Za co spotyka go na schyłku życia mściwa Nemezys konieczności historycznej: — powstaje heretycki rzekomo Kościół Narodowy, odprawiający liturgję świetną starożytną polszczyzną...

Przerażający bilans dla... katolików!

Ale my, wolnomyśliciele z innym sercem składamy hołd Jubilatowi. Dziękujemy mu, że mianowicie pod jego okiem mogła się rozwinąć *Wolna myśl*. Księża pracowali nad pozbawieniem wiary maluczkich, budząc w nich wątpliwość co do sprawiedliwości podziału dóbr tego świata; prefekci stali się pośmiewiskiem uczniów, za swe nieuctwo; życie kleru zadawało kłam jego zasadom. Ludziom spadła łuska z oczu: ciemnota i zdeptanie ducha ukazywały się tam, gdzie tylko pracował podkomendny pasterza. Rewolucja ostatecznie wydobyła na jaw — gdzie tkwiło rozbestwienie bandytów? W tych właśnie nawarstwieniach społecznych, wśród których grasowali ciemni kaznodzieje...

Tak jest! Ze snopów waszej pracy katolickiej—gaszenia ducha—uzbierały się kłosy *Niewiary*, krytycyzmu, a z nich powstał wielki, piękny snop: „Wolna Myśl”, który skromnie składamy w dniu „dożynek pasterskich”. Z twego to posiewu, pasterzu! Dziękujemy zań! Jeżeli jesteś ukrytym ateuszem, — ciesz się ze swego walleurodyzmu! Jeżeli zaś wierzysz — to przyjmij naszą szczerą kondolencję człowieka: zaiste smutnym jest zachód życia twego, o ile widzisz gasnące słońce wyznania, które Polska czci tylko wargami, ale już niema go w sercu swym.

An. Mlr.

Ze wspomnień o Kongresie Esperanckim.

(Dokończenie).

Pierwsza z nich t. j. do Meissen, wyruszyć miała 18-go sierpnia o godz. 1 min. 20 po południu. Przed samym więc już południem wszystkie tramwaje miejskie, z gwiazdami i napisami esperanckimi u boku

[1]) (Kr. 14.21).

oddane nam bezpłatnie na cały czas kongresu, wiozły nas śród ulic przyozdobionych w sztandary esperanckie, do jednej z głównych przystani na Elbie, skąd na kilku wielkich statkach, równie przyozdobionych w nasze flagi i równie bezpłatnie oddanych nam do usług — odpłynęliśmy do odwiecznej stolicy margrabiów, burgrafów i biskupów Misnji. Pominę tu liczne owacje jakie nas spotykały po drodze, bo niczem to jeszcze było w porównaniu z powitaniem jakie zgotowało Zamenhofowi samo miasto Meissen. Tu oczekiwał nas najmniej kilkutysięczny tłum mieszkańców, który wystrzałami z moździerzy i gromkimi okrzykami: „Vivu Esperanto! Vivu Zamenhof!” objawiał żywą swą radość z oglądania na własne swe oczy tak głośnego dziś w świecie męża. Gdy wysiedliśmy ze statków, otoczono go zewsząd sztandarami esperanckimi i poprzedzonego orkiestrą miejską, grającą tryumfalnego marsza, śród niemilknących wiwatów i okrzyków, poprowadzono do miasta. Postępując tuż za nim, ściśle zwartym szeregiem, witani byliśmy wszyscy entuzjastycznymi okrzykami mieszkańców tłumnie zgromadzonych na ulicach, na balkonach i w oknach starożytnych domów, udekorowanych kwiatami, dywanami, flagami. Tak przybyliśmy wreszcie na rynek, na ów rynek, który od 1000-ca lat z górą — jak głosi jego historja — był widownią świetnych przyjęć mnóstwa goszczących w Meissen monarchów różnych narodów i krajów”. Monarszego też niemal przyjęcia doznał tu i twórca języka Esperanto. Gdy przybył na rynek, pochyliły się przed nim sztandary i głowy, wybuchły pełne zapału okrzyki, zabrzmiała głośna muzyka, zadrżały zda się w posadach swych mury... A gdy nakoniec ucichło zwolna wszystko, ukazał się na balkonie ratuszowym — Zamenhof. Tu otoczyło go kilku dygnitarzy miejscowych, z burmistrzem miasta na czele, który imieniem odwiecznego tego grodu w dłuższem nieco przemówieniu powitał go serdecznie.

Zwiedziwszy następnie świetnie utrzymany starożytny zamek Albrechtsburg, zwiedziwszy słynną królewską fabrykę porcelany i dawną katedrę, w której odbywał się właśnie wielki koncert z pieśniami w języku Esperanto, udaliśmy się niebawem do teatru miejscowego, gdzie oczekiwały nas znowu popisy koncertowe oraz zapowiedziana komedja w języku Esperanto. I tu, równie jak wszędzie, gdy ukazał się Zamenhof, powstała z miejsc swych publiczność, zadrżała od frenetycznych oklasków i okrzyków cała sala teatralna i pochyliły się ku niemu sztandary esperanckie. Po wyjściu z przedstawienia otoczono go wraz z małżonką płonącymi pochodniami, i znów poprzedzonych świetną orkiestrą miejską i wieloma sztandarami, śród nieustających na cześć ich okrzyków prowadzono przez miasto na dworzec kolejowy. I szliśmy tak przez ulice, bądź ożywiane tu i owdzie pląsami na balkonach, bądź oświetlane co chwila ogniami bengalskimi, śród których rozlegały się wystrzały rakietowe i deszczem gwiazdzistych iskier spadały na ziemię. A hen tam u góry, poruszane nocnym wiatrem, jak gdyby skrzydła pancernych husarzy, jak gdyby proporce zakutych w stal rycerzy, szumiały w uroczym tym oświetleniu — sztandary esperanckie. Najbardziej jednak pamiętną dla uczestników pochodu tego chwilą była niewątpliwie ta, gdy zatrzymawszy się na wielkim moście miśnijskim, ujrzeliśmy na wzgórzu, jak gdyby „obwity srebrnymi mgłami przeszłości” i otoczony rubinowym morzem płomieni, wyniosły a wspaniały zamek, któryśmy zwiedzali niedawno. Cudny był to widok! Oświetlony na czarnym tle nocy krwawym ogniem bengalskim zdawał się on naprawdę nieziemskim jakimś zjawiskiem.

Druga, a o wiele jeszcze więcej czarująca wycieczka po Elbie, odbyła się w dniu 20 sierpnia do t. zw. Szwajcarji Saskiej, a mianowicie do prześlicznego miasteczka Wehlen. I tu urządzono różne owacje na cześć Zamenhofa. Ale i tu także, jak wszędzie, imponował on jedynie licznie zebranym tłumom — przedziwną swą prostotą i skromnością bez granic. Umieli też snać ocenić rzadkie te zalety znakomitego męża i wszyscy posiadacze pałaców i will po obu brzegach Elby, począwszy od Wehlen, a skończywszy na Dreznie, bo pospieszyli sympatję swą i uwielbienie wyrazić mu w bardzo niepowszedni sposób. Było to zaprawdę coś tak uroczo pięknego, a tak zupełnie niespodziewanego dla nas, że ci tylko o tym mogą mieć wyobrażenie, co na własne swe oczy oglądali te dziwa.

Gdy powracaliśmy z Wehlen, była już noc zupełna. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazłem się wraz z żoną na przepełnionym już wprawdzie, lecz pierwszym z rzędu statku, statku, jak i następne, dźwigającym na sobie dumnie powiewające wielkie flagi esperanckie. I temu to zapewne przypisać należy, że przyjaciele nasi z nad Elby pewni snać będąc, iż pierwszym tym statkiem płynie Zamenhof — w chwili ukazania się go przed każdym z kolei pałacem lub willą, zapalali przepiękne ognie bengalskie, puszczali rakiety i fajerwerki, strzelali z ręcznej broni i moździerzy, a wybuchając pełnymi radości okrzykami wykonywali tu i owdzie fantastyczne pląsy na tarasach i werandach. I nic byśmy w tym jeszcze nie widzieli zbyt dziwnego, gdyby... gdyby to tylko były objawy sporadyczne. Ale zważcie, że owacji tych doznaliśmy od *wszystkich*, powtarzam, pałaców i will (a jest ich tam mnóstwo)—*nie wyłączając i pałacu królewskiego w Pillnitz* — że w ciągu dwugodzinnej z górą naszej żeglugi, nie ustawały one ani na chwilę niemal i że wszystkie nasze statki i oba brzegi Elby aż do przystani w Dreznie, zdawały się tonąć w istnej tej powodzi różnobarwnych świateł, ogniów i blasków. Nie jest-że więc niezbity to dowód jak najżywszej sympatji dla idei esperanckiej i okolicznych mieszkańców Drezna, chociaż, jak rzekłem tak jeszcze niedawno liczyliśmy śród nich bardzo niewielu jej zwolenników?

Aleksander Bolesław Brzostowski.

Reforma szkół żeńskich w Prusach.

Prusy reformują — jak wiadomo — swoją szkołę żeńską, która zresztą od dawna oczekiwała na taką reformę. Kobieta w Prusach, dzięki przestarzałej szkole, pozostawała wciąż pracowitą robotnicą, kucharką i gospodynią, co było rzeczą bardzo praktyczną, ale zaniedbywała stronę duchową swej istoty. Minister Studt był przeciwnikiem równouprawnienia kobiet w dziedzinie oświaty i dla tego też opierał się gorąco reformie, choć opinja publiczna popychała go stale w tym kierunku. Dopiero następca jego, minister Holle, przeprowadził do końca ledwie zapoczątkowane dzieło, robiąc pierwszy śmielszy krok na drodze postępu.

Nowa szkoła pruska pozostała na gruncie „praktycznym”, stanowiącym właściwość niemiecką jednakże poczyniła pewne interesujące inowacje.

Głównym typem szkoły dla dziewcząt ma pozostać dotychczasowa wyższa szkoła żeńska, rozszerzona jednak aż do 10 klas. Szkoła ta, mimo tak długiego kursu, nie wystarcza do zaokrąglenia wychowania i dla tego obok niej istnieć będzie „liceum” w którym dziewczęta, kończące wyższą szkołę żeńską, mogą uzupełnić swoje wykształcenie przedewszystkiem w dziedzinach potrzebnych do praktycznego życia kobiet z inteligencji. Liceum będzie obejmowało dwa kursa roczne, przyłączone do wyższej szkoły żeńskiej lub do istniejących seminarjów nauczycielskich. Plan nauki w liceum zawiera między innymi: higienę, wychowanie dzieci, filantropję publiczną i t. d.

Oprócz tego, że tak powiemy, normalnego biegu wykształceniu ogólnego, ma być zorganizowane wykształcenie specjalne, gimnazjalne, jako podstawa do studjów uniwersyteckich.

Do tego celu służyć mają tak zwane „zakłady naukowe”. Będą one urządzone równolegle do wyższych klas gimnazjalnych męskich od tercji do prymy[1]) i pozostawać będą w łączności ze średnimi klasami wyższej szkoły żeńskiej—będącej naturalnie podobnie jak i powyższy zakład, zakładem naukowym średnim.

Świadectwo dojrzałości z tego zakładu naukowego uprawniać będzie do studjów uniwersyteckich z prawem imatrykulacji. Minister będzie mógł jednak kobiety od pewnych prelekcji wyłączyć. Obce poddane mogą być dopuszczone do studjów tylko za specjalnym pozwoleniem ministra.

Nowością wreszcie jest i to, że do niższych i średnich klas wyższej szkoły żeńskiej mogą uczęszczać także chłopcy. Będzie to zatem nowa próba koedukacji na gruncie szkoły żeńskiej.

Przez pryzmat Prawdy.

Poseł Parczewski pojechał „nach Berlin” na kongres pacyfistów.

Tą niespodziewaną wiadomością zostali zaskoczeni nawet ci, którzy zdobyli już dostateczną elastyczność pojęć i giętkość karku, aby obracać się bez trudności w błędnym Kole polskim i jego politycznym delirium.

Na wstępie małe wyjaśnienie co do omawianego przedmiotu: Pan Parczewski jako taki nic nas nie obchodzi; jest on manekinem solidarnego Koła polskiego, które eo ipso ma nazewnątrz jedną głowę. Normalnie rzeczy biorąc, w tej głowie winna się mieścić synteza myśli zbiorowej, tak się jednak stało, że wszyscy posłowie chodzą w obrożach z wyraźnymi inicjałami p. Romana Dmowskiego, zdaniem bowiem tego nie tyle opatrznościowego ile kosztem narodu dobrze opatrzonego „męża stanu”, członkowie Koła wzamian za rozdane im fotele poselskie, których tuzinkowe ambicje różnych Parczewskich tak łaknęły, winni mieć ręce do oklaskkw, nogi na posyłki i miejsce na kapelusz, w rezultacie więc jest wszystko jedno, jaki Wojtek lub Bartek został wysłany z gramofonem do Berlina. Ja osobiście na te zmodernizowane „martwe dusze” jedynie z litością patrzyć mogę.

Inna jest rzecz z głównym przedsiębiorcą politycznym i jego wytresowanym Kołem, które już niejednokrotnie dało się poznać szerszej publiczności na arenie życia raperswylskiego, przedwyborczego, parlamentarnego, neosłowiańskiego, no i obecnie... pacyfistycznego.

Aczkolwiek ta arlekinada dziś na szczęście nie jest już wyrazem nastroju społeczeństwa, gdyż sztucznie wydęty autorytet Koła prysł jak bańka mydlana i ci skoczkowie reprezentują tylko swoje osoby, jednak ponieważ do dziś jeszcze są oni de nomine posłami polskimi i klamliwymi frazesami złowionych mandatów oddać nie chcą, muszę im cisnąć w oczy tym, na co zasługują.

Tak, jesteśmy społeczeństwem sentymentalnym i nieanalizującym uczuć. Z racji tych

[1]) Klasy wyższe odpowiadające naszym, od 3-ej do 8 ej włącznie. Tercja, sekunda i pryma, mają [illegible]

właściwości naszego charakteru z każdym choćby bandytą który nam potrafi zaimponować, gotowi jesteśmy sympatyzować, co było przyczyną, że nieopatrznie ster spraw naszych powierzyliśmy nietylko niepowołanym, ale i niegodnym, którzy wzamian za zaufanie wywdzięczyli się obłudą, zdefraudowali hasła nasze, ideały, godność naszą własną, słowem cały dorobek moralny, jedyną spuściznę po lepszej przeszłości i podstępnie przygotowali nową Targowicę.

Tak, poseł z imienia tylko „Polak" pojechał do Berlina, pojechał tam, gdzie nas gnębią i prześladują, gdzie Polak uczciwy brzydzi się nogę postawić, pojechał na pantominę pokoju, choć wie, że na kongres prasy, dziennikarze polscy do tej stolicy hakatyzmu wyjazdu odmówili i Czesi, szanując nasze święte uczucia, toż samo uczynili. Pojechał tam, gdzie ks. Bülow gospodarzy, i pojechał nie w celu upomnienia się głośno i z męską odwagą wobec świata o krzywdy Polaków, dla zaznaczenia wyraźnie, że ideja pokoju, tylko współrzędnie z ideją wolności i sprawiedliwości szczytną być może, ale pojechał, by w imieniu Polaków, których godła nadużywa, tchórzliwie milczyć o krwawiących ranach, nam, a przez nas ludzkości całej zadanych. Pojechał, by toastować na cześć tych, którzy brutalną ręką zaorać zdążyli jeszcze świeże mogiły naszych tradycyj i ideałów, pojechał chyba by nadstawić policzki pod nowe ciosy.

Społeczeństwo polskie miłościwe jest dla swych ubogich duchem i marnotrawnych synów, pozwoli trwonić nawet swe pieniadze, ale nie pozwoli nigdy ordynarną ręką dotykać tego, co samo za swój jedyny i święty skarb uważa, nie pozwoli plamić godności własnej.

O z jakąż rozkoszą oddałoby was innemu społeczeństwu! Czy jednak was kto zechce? Zbyt mało cenicie się sami, aby jakąkolwiek wartość u innych posiadać.

Sector.

Echa Prawdy.

Od pewnego czasu obiegały pogłoski o możliwym ustąpieniu premjera rządu rosyjskiego. Publiczność oczekiwała odpowiednich aktów, pożegnań i *quasi* nekrologów. Stało się tymczasem niespodziewanie inaczej. Oto ustąpił z zajmowanego stanowiska tylko premjer Filharmonji Warszawskiej p. A Rajchman. A ustąpił z godnością naprawdę ministerjalną. Napisał i ogłosił drukiem uniwersał, w którym poucza, że „z za płota (?) nieznane (?) a nieuczciwe (!!) pióro miotało na niego oszczerstwa (tak nazywają się w owym uniwersale dowody rzeczowe!), których dłużej już znosić nie miał sił, ani zamiaru" (pewno i możności) i wobec tego expremjer Filharmonji uznał za ministerjalnie odpowiednie zachorować, mieć w przeddzień podpisania uniwersału atak sercowy i w skutek tego uważać za konieczne i dla poratowania cennego zdrowia niezbędne opuszczenie fotela dyrektorjalnego i wyjazd „na dłuższy czas" z niewdzięcznej Warszawy. „Czyni to jednak nie bez żalu (myślę): ukochał robotę (sic!), której służyć starał się, jak umiał (oceniamy, oceniamy) najlepiej" (brawo! brawo! .

I zarząd Filharmonji obwieścił *urbi et orbi*, że „wyczerpawszy wszelkie środki skłonienia p. Rajchmana do cofnięcia swej rezygnacji" musiał „z wielkim żalem" udzielić mu dymisji.

I *urzędowy* historjograf napisał notatkę historyczną, podnosząc „ogromną pomysłowość (!), niezmordowaną pracę i rzadką energję" exdyrektora, który musiał ustąpić przed formalną *naganką* jednostek i całych gromad.

Naganką nazywa się tu szereg artykułów, w których autorzy zdemaskowali w imię dobra instytucji czyny kompromitujące jej kierownika i wiele szkodliwe dla samej instytucji—naganką jest zgromadzenie rzeczowych na to dowodów, uprzytomnienie faktów, wysnuwanie wniosków i ostrzeganie przed zgubnymi ich następstwami, a jednostkami rzekomo winnymi ustąpienia exdyrektora, są ludzie o poczuciu sprawiedliwości i uczciwości, tak! uczciwości, których dziś jest mniej, niż bezkrytycznych czcicieli „pomysłowości" pana dyrektora. Ale historjograf od tego jest historjografem *urzędowym*, żeby pisać, co mu z urzędu pisać *trzeba i wolno*. Wolno było również p. R. zachorować i wyjechać „na dłuższy czas", wreszcie wolno Zarządowi Akcyjnego Towarzystwa „Filharmonji Warszawskiej" ogłosić pompatyczny komunikat, który w części swej uznania zasług pana R. jest daleki od prawdy, znanej już powszechnie, a tym samym jest choć naśladowaną, ale bądź co bądź poprawną komedją.

Wolno więc i mnie śmiać się z tej komedji.

Żądełko.

Teatr Letni: **Chrzest**. Sztuka w trzech aktach Alfreda Savoiz'a i Noziera, przekład z francuskiego T. J. Reżyserował Józef Sliwicki.

Do jakich nadzwyczajnych rezultatów mógłby dojść teatr francuski, gdyby, zachowując swą sceniczność, starał się choć trochę o pogłębienie, gdyby, wyzwoliwszy się z błędnego koła zdrad, wiarołomstw i niedoli złamanych kokocich serc, zachował swą werwę, humor i tradycyjną znajomość sceny... Jest to rzeczą drugorzędną, czy pogłębienie to miało by się odbyć w kierunku psychologicznym, społecznym, czy etycznym, przedewszystkiem bowiem chodziło by o to, by autor za sprawą publiczności, czy publiczność za sprawą autorów odczuła jego potrzebę. Chwila, gdy wyrzucony przez usta pełne śmiechu okrzyk, „oh, ce que c'est bête" przestanie wystarczać i jednym i drugim, nadejść kiedyś musi; nadeszła by może wcześniej, gdyby ci, którzy chcą zerwać z obecnym stanem rzeczy, nie rzucali się z jednej ostateczności w drugą i, chcąc zerwać z farsą, nie wpadali w nudny moralizatorski, czy prokuratorski ton t. zw. pieces a these.

Słynne oświadczenie uczonego francuskiego: je n'impose rien, je ne propose rien, j'expose, najlepiej dało by się zastosować do wszelkiej twórczości scenicznej, nigdzie bowiem bardziej niż tutaj rola autora nie ogranicza się do przedstawiania faktów i bezpośredniego działania za pomocą nich.

Autor dramatyczny powinien posiadać tę dostojną miarę, która by mu na chwilę nie pozwalała zapomnieć o tym, że krzykacz, czy trybun są w jego rękach narzędziami, czy symbolami tylko, którymi on operuje, do których jednak jemu nie godzi się upodobniać.

Tę poważną miarę traktowania przedmiotu posiadają pp. Savoiz i Nozier i bez podejrzanych koncesji w którąkolwiek stronę potrafili poruszyć temat, który dotąd dawał innym pole do scenicznych napaści i bezsensownych zarzutów.

„Chrzest" wprowadza nas w sferę bogatego mieszczaństwa żydowskiego. Osiągnęło ono wszystko co mogą dać miljony, niezaspokojoną pozostaje już tylko ambicja i... i to coś, co staremu Blechowi każe kochać dawno porzucony Frankfurt, co Helenę popycha w stronę uniesień mistycznych, a młodemu Luckowi jeno łzy gorące wyciska z oczu. Stary Blech marzył o tym, że jego dzieci, zrodzone na ziemi francuskiej, ziemię tę pokochają i czuć się na niej nie będą obcymi; wszak on sam kocha ten Frankfurt ze swych wspomnień dziecinnych, ale dzieci jego będą miały jeszcze środki, by wkupić się w to społeczeństwo które dotąd odwracało się od nich. On wkupił się tylko pracą swoją, ale one wkupią się swymi przymiotami i przywarami, które przyjęli z otoczenia, wkupią się chrztem, byle należeć do czegoś, czuć swą spólnotę z otoczeniem, mieć swój kraj, swoją ojczyznę.

„Być Żydem — to nieszczęście, to wielkie nieszczęście"! mówi stary Blech. „Być brzydkim — to boli" powtarza Lucek. Stary Blech przyjmuje chrześcijaństwo, by oszczędzić swemu ukochanemu, brzydkiemu dziecku drwin i upokorzeń, by zdjąć zeń to nieszczęście, to wielkie nieszczęście, że jest Żydem, ale wie on, że żydostwo nie leży ani w narodowości, ani w wyznaniu, bo leży ono w nieszczęściu, które jak wpływ dziedzicznych obciążeń ludzkości z mroku, przesądów i nieuczciwych suggestji powstałe snuje się ciągle po ciemnych zakątkach ślepych dusz i raz wraz niegodną ludzi nienawiścią, lub choć płaską złośliwością wybucha.

Blechowa i jej pociecha, najstarszy syn Andrzej zaawansują przez przyjęcie chrztu. Blechowa będzie przyjmowała monsignorów, hrabiów i książąt; Andrzej dostanie się wreszcie do klubu i zacznie pracować nie gorzej od papy, bo tylko Żydowi nie wypada mieć bliskich stosunków z handlem i giełdą, z chwilą jednak, gdy zaawansował na chrześcianina, stosunki te przestały być dlań kompromitującymi.

Tych dwoje ludzi ambicja tylko pchała ku zbliżeniu się ze społeczeństwem, wśród którego żyją, potrafią więc oni zdyskontować fakt przyjęcia chrztu i wyciągnąć z niego z góry obliczone korzyści. Blech po przyjęciu chrześciaństwa i chrztu pozostanie nadal Żydem; dla niego chrzest był tylko czczą uroczystością, której zorganizowanie powierzył żonie i jest zadowolony, że uroczystość „się udała".

Jedna tylko Helena, która najpoważniej na ten krok się zapatruje, najdrożej za swój zapał płaci,—bo opanowana przez mistyczną stronę katolicyzmu całkowicie duszę swą w nim zaprzepaszcza i wstępuje do klasztoru. Ale i ona nie znajduje ojczyzny — chrzest wiąże ją z katolicyzmem, ale nie z krajem, nie z narodem, wśród którego żyje — a więc tak pojęty program asymilacji niema tu zastosowania.

Helena pragnie pociągnąć za sobą młodszego brata, Lucka, przy pożegnaniu kładzie mu w rękę książkę do nabożeństwa; ale Lucek nie będzie się modlił i smutną pozostanie jego dusza aż do końca; chrzest nie zmienił jego brzydoty, nie pokrzepił mu duszy i smutne życie go czeka.

Autorowie „Chrztu" starali się przedstawić wszystkie rozgałęzienia tej linji, po której biegło życie i myśl ludzka w poszukiwaniu rozwiązania dla zawiłej kwestji; zakreślili ją przedewszystkiem dokładnie i głęboko jako potrzebę duszy ludzkiej, która chce być związaną ze swem środowiskiem nie za pomocą jakichś form, ale przez wspólne prawa i obowiązki, wspólną pracę i wspólną miłość ku tej ziemi, którą zwiemy ojczystą; ale, przechodząc kolejno rozmaite sposoby rozstrzygnięcia sprawy, zapomnieli o jednym, najsłuszniejszym chyba, bo wspartem na pewniku, że to, co mrok wyssał z ziemi, tylko blask słońca rozpędzić potrafi, że ludzkość, krocząc naprzód w swym rozwoju kulturalnym położy kiedyś kres i temu „nieszczęściu", które zwie się: jam Żyd.

Ten jeden ton nieco mocniej zaznaczony nie zepsułby tej sztuki, tak spokojnie pomyślanej i z takim taktem przeprowadzonej.

Rozumie się, że rozmaici ultramontanie z jednej i z drugiej strony w tych lub innych szczegółach sztuki dopatrzą się bluź-

nierstwa, albo paszkwilu, w rzeczywistości jednak najpierwszą zaletą „Chrztu" jest właśnie ta dyskrecja rysunku i poważne zrównoważenie świateł i cieniów, które nadali autorowie swej sztuce. Nie starają się oni ukryć śmiesznostek, ale nie doprowadzają ich do szarży, zaznaczają rozmaite sprzeczności i ustępstwa w wyborze środków przez wzgląd na cele, ale nie wpadają nigdy w ton paszkwilu, umieją bryzgać złośliwością, ale nie błotem.

Publiczność starała się podkreślać oklaskami każde mocniejsze słowo, które w swobodnej, a wytwornej interpretacji p. Frenkla nabierało jeszcze więcej wyrazu, ale słuszny zakaz nieprzerywania artystom hamował w porę jej artystyczny zapał. Szkoda, że z tych oderwanych oklasków sądzić trzeba, że właśnie te ustępy sztuki najbardziej przypadły jej do gustu — ale habeant sibi.

Stefan Gacki.

Adam Morawski: **Burzyciele Ideałów.** Warszawa, księgarnia E. Wende i Spółka. Str. 162.

Są autorowie, których wady pomijać należy pogardliwym milczeniem, a nad nimi samymi do porządku dziennego przejść; chyba, gdy już zanadto glebę piśmienniczą zachwaszczają, krytyka zająć się nimi musi i aby rozentuzjazmowane rzesze czytelnicze ochładzać, gorzkie antydotum z przewin nieuleczalnych pisarzy takowych na światło dzienne wywlec i wszem wobec odsłonić. Tak postąpił niedawnymi czasy Potocki [1]) z Rodziewiczówną i Esteją, wielką tym piśmiennictwu ojczystemu oddając usługę.

Inna grupa pisarzy — mówię o debjutantach—wchodzi w szranki piśmiennicze wnosząc ze sobą wady i usterki, które najszczerzej, najostrzej i najotwarciej wytknąć należy, bo z poza skorupy wad, nieraz niezwykle szpetnych i rażących, czuć to, przed czym głowy uchylić należy, czuć talent.

Do tego rzędu pisarzy, znanych od wczoraj dopiero, należy bezsprzecznie Adam Morawski.

Wyznaję, że pisząc o pierwszym jego zbiorku nowel (właściwie ściślej wziąwszy, wrażeń) p. t. „Biała Pantera", nie sądziłem, że w rok niespełna wyda rzecz tej miary co, „Burzyciele Ideałów". Aczkolwiek z „Białej Pantery" przebijał talent, to jednak zaledwo widać go było z poza całego nawału pozy, silenia się (często nieudatnego) na oryginalność, całej masy zwrotów sztucznych, nieszczerych, niesmacznych.

„Burzyciele Ideałów" to rzecz silna, to pogłębiona i umiejętnie narysowana sylwetka anarchisty i potępieńca życiowego, idącego przez życie bez żadnych skrupułów moralnych, pod każdym względem jednostki wyzwolonej, ale i do szpiku kości znikczemniałej. Doskonale i trafnie oddany jest wpływ rozkładowy, jaki podobne indywidua, jak bohater „Burzycieli Ideałów", Gwozdecki, wywierają na szeregi całe istot słabych, dla których — dzięki swej paradoksalności i bezczelności — mogą się stać niejednokrotnie przewodnikami duchowymi.

W porównaniu z „Białą Panterą", język Morawskiego pozbył się sztywności i szorstkości, stał się bardziej giętkim i barwnym, choć daleko mu bardzo jeszcze do piękności mowy Przybyszewskiego i Berenta, pod których przemożnym wpływem tworzy Mórawski.

[1]) Antoni Potocki: „Szkice i wrażenia literackie". Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego, 1908.

Naśladownictwo co do formy i treści, niedostateczność własnych zasobów twórczych i stąd idące czepianie się olbrzymów — to wielka wada, wada z której co najprędzej się Morawski otrząsnąć powinien. Własną treść własnym duchem odtworzyć — oto zadanie artysty. Przyznać swoją drogą trzeba, że zdolniejszego ucznia dotychczas Przybyszewski nie miał: w książce Mórawskiego, są całe stronice, które autor „Nad Morzem" mógłby bez uchybienia uznać za swoje.

Pomiędzy uczniem a mistrzem są jednak zasadnicze różnice, które już teraz z „Burzycieli Ideałów" przebijają: z jednej strony to tragiczny podkład jednostronnego poglądu na świat Przybyszewskiego, podczas gdy Mórawski mniej ma w sobie tragedji, a więcej cynizmu, z drugiej strony jest jednak u Morawskiego ogromna potęga czynnej, twórczej nienawiści, podczas gdy u Przybyszewskiego pojawia się wszędzie rozpaczna rezygnacja — następstwo ślepej wiary w przeznaczenie. W Morawskim znać dużą kulturę, ma on też wiele sił młodzieńczych, musi jednak zrzucić z ramion swych płaszcz obcy, musi stać się samym sobą. Może, bo ma potężnego sprzymierzeńca — talent.

Jan Iwański.

Z PRASY.

Wywczasy polityczne.

Po jubileuszu Tolstoja przyszła znowu kolej na politykę, na układy partyjne, na zmienianie i „poprawianie" programów. Wobec bliskiego terminu otwarcia drugiej sesji Dumy prasa stara wykazać się, jakie zaszły zmiany na horyzoncie politycznym. Największą uwagą i opieką czujnego oka prasy otoczeni są październikowcy, co im się rzeczywiście z urzędu należy. Stwierdzany już niejednokrotnie rozłam w ich obozie zdaje się być dokonanym, lecz za wszelką cenę przywódcy partyjni starają się ukryć ten rozłam a raczej nie potwierdzić go oficjalnie, co ostatecznie miało nastąpić na projektowanym zjeździe październikowców, lecz niestety, ten zjazd nie odbędzie się wcale. Powzięte uchwały obowiązywałyby w praktycznej działalności w Dumie, a bez uchwał wygodniej można będzie lawirować, jak się zdarzy według tendencji i wskazań rządu. Rząd ze swej strony również nie skorzystał z kilku miesięcy wolnego czasu i nie wypracował żadnego programu na nadchodzącą sesję. Prace dumskie potoczą się więc po tych samych rozbieżnych kolejach, co szły przez pierwszą sesję, potrącą o to i owo, zasadniczo jednak nie zmienią nic, a jeżeli nastąpią zmiany, to obawiać się należy, czy nie ku gorszemu.

Na tle polityki ogólnej pod względem „poprawiania programów", tylko polityka Koła polskiego zyskała ustaloną opinię. *Kraj* petersburski na artykuły *Głosu Warszawskiego* odpowiada radośnie i wita nowy kurs polityki jak powrót marnotrawnego syna, dodając w delikatnym tonie utrzymaną uwagę: wszystko to, co wyście odnaleźli po długich a próżnych poszukiwaniach, dawno przewidzieliśmy i ostrzegali naród jeszcze za Pilza. — Tak brzmią słusznie zupełnie słowa *Kraju* petersskiego, i dziś Koło polskie nie będzie miało żadnej przyczyny stronić od *Kraju,* gdzie je dawno już proszono i używano wszelkich sposobów by nawiązać stałe i przyjacielskie stosunki. Posłowie jednak trzymali się wiecznie zdaleka i na wizyty odpowiadali zaledwie pozostawieniem biletu u szwajcara.

Prócz *Kraju* cieszy się i *Rossija* ze zmian, jakie nastąpiły w panu Dmowskim i, co najcharakterystyczniejsze, oficjalny organ p. Dmowskiego obdarza zupełnym zaufaniem, wierzy tym razem w jego szczerość—a wszystko to — cała zmiana od „do ut des" do dzisiejszej polityki da się przetłumaczyć: wzięły dzieci w skórę i są grzeczne.

Feliks Honowski.

Przegląd przeglądów.

Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik (t. 36, z. 1). Wiktor Leo w dłuższym artykule zajmuje się *ekonomiczną organizacją pracowników umysłowych* w Niemczech. Autor ma na myśli związki zawodowe, broniące interesów klasowych proletarjatu inteligientnego przy pomocy tych wszystkich środków, jakie zapewnia prawo koalicji robotnikom. Objektywne warunki rozwoju idei syndykalistycznej wśród pracowników umysłowych istniały właściwie już dawniej; już przed 35 laty Engel doszedł do wniosku, że kapitał włożony w wychowanie i wykształcenie przeciętnego inteligienta w Niemczech, rentuje się bez porównania gorzej, niż kapitał włożony w wychowanie robotnika pracującego fizycznie. Wprawdzie w ciągu kilkudziesięciu lat następnych ceny pracy tak fizycznej jak i umysłowej wzrosły znacznie, to jednak stosunek wynagrodzenia obu rodzajów pracy nie uległ zmianie, nadto ustawodawstwo społeczne wzięło w obronę wyłącznie niemal pracujących fizycznie. Jeśli mimo to ruch zawodowy wśród proletarjatu inteligientnego datuje się dopiero od lat ośmiu, to przypisać należy indywidualizmowi, właściwemu tej warstwie. By ten niepodatny do organizacyjnej pracy żywioł skupić w kadry związkowe, trzeba było z jednej strony widoku realnych korzyści, jakie klasie robotniczej zapewnił rozkwit jej związków zawodowych w latach 90-tych; z drugiej strony niebezpieczeństwa, stworzonego przez to, iż pracownicy umysłowi znaleźli się w środku między dwumiljonową armją robotniczą a silnym również związkiem przedsiębiorców, doskonale już zorganizowanych w ostatnich latach ubiegłego stulecia. Wspólność cech pracy najemnej najsilniej dawała się odczuć licznej kategorji pracowników umysłowych, określanej zbiorową nazwą urzędników prywatnych, wśród nich też myśl samoobrony w drodze akcji związkowej największe poczyniła postępy. Statystyka państwowa podaje ilość członków różnego typu organizacji urzędników prywatnych w Niemczech w 1907 r. na przeszło $^1/_2$ miljona; z czego na grupę pracowników handlowych przypada 450,000 członków, na grupę techników 100,000, inne zawody reprezentowane są mniej licznie. Taktyka stosowana dotychczas przez te organizacje jest naogół pokojowa; przyczyn tego atoli szukać należy nie tyle w ideologji członków związków, ile w faktycznej niemożności posługiwania się w walce o polepszenie warunków bytu ostrzejszymi środkami, jak strejk, bojkot, z powodu mnogości organizacji i niedostatecznej dotąd ich centralizacji. Na stanowisku walki klas najwyraźniej w ostatnich czasach stanęły: związek pomocników handlowych, związek techników, związek urzędników techniczno-przemysłowych, związek rysowników i kilka mniejszych. Organizacyjnie najlepiej rozwinięty jest lipski związek lekarzy, powstały w 1901 r.; dziś liczy on 20,000 członków, t. j. obejmuje $^3/_4$ ogółu lekarzy niemieckich. Rozwinął on obszerną działalność w kierunku zastąpienia stałych lekarzy w kasach chorych przez system wolnego wyboru lekarza ze strony potrzebującego pomocy lekarskiej członka kasy. W r. 1906 obsadził 3374 posad, a pośrednicząc w umowach i niedopuszczając do przyjmowania warunków uznanych za nieodpowiednie powiększył dochód roczny swych członków o 8 miljonów marek. W ciągu swego istnienia zawarł kilkaset umów zbiorowych z różnego rodzaju towarzystwami, skutecznie posługiwał się strej-

kiem i bojkotem, tego ostatniego środka użył np. w r. 1906/7 w 124 wypadkach. Według danych statystycznych zebranych przez niego w r. 1905. $^1/_4$ lekarzy zarabia rocznie mniej niż 3000 marek. Ciekawe wyniki dała również ankieta związków techników, według niej $^1/_3$ odpowiadających inżynierów i techników przemysłu maszynowego pobierało rocznie mniej niż 1800 marek, połowa mniej niż 2100 marek, ponad 3000 miało tylko 17% badanych. Jeżeli porównamy z tymi dochodami zarobki robotników w tej samej gałęzi produkcji (kowali, ślusarzy, montjerów) to okaże się, iż większość ich zarabia ponad 1500 m. rocznie. Z odpowiadających na ankietę 53% kończyło wyższy zakład naukowy. Ruch zawodowy wśród pracowników umysłowych w Niemczech ma analogiczny charakter z zawodowym ruchem robotniczym, opiera się na organizacjach masowych i posługuje się o ile możności środkami pokojowej akcji. W przeciwieństwie do Francji, Włoch i Austrji, ideja syndykalistyczna nie znalazła w Niemczech przystępu do urzędników państwowych i pracowników państwowych przedsiębiorstw; tutaj też kwestja przyznania lub odmówienia prawa koalicji i tym sferom społecznym nie stała się jeszcze aktualną. W tymże numerze godnym uwagi jest również początek ciekawego studjum R. Liefmana o *współczesnych gminach komunistycznych w Północnej Ameryce*. Autor daje dość szczegółowy obraz ich powstawania i upadku. Zorganizowane na tle religijnym miały naogół dłuższą żywotność niż te, które zakładane były przez działaczy społecznych. Istniejące do dnia dzisiejszego i mające pewne szanse dalszej egzystencji, należą właśnie do założonych przez sekciarzy, opis życia w jednej z największych takich gmin skreślił autor na podstawie osobistych spostrzeżeń. Niepowodzenia poprzedników nie zraziły jednak nowych eksperymentatorów, po kilkudziesięcioletniej przerwie w latach 90-tych ubiegłego stulecia dokonano szeregu nowych prób w tym kierunku; gminy świeżo założone mają atoli charakter raczej kooperatywny, niż komunistyczny. W Kalifornji zaś powstała gmina na tle komunistycznym założona przez towarzystwo teozoficzne.

wh.

Z Słowiańszczyzny.

W ciągu ubiegłego miesiąca wywieszona na ratuszu w Winohradach chorągiew czarna obwieściła zgon Wacława Wlczka, długoletniego redaktora miesięcznika *Oświaty*. Zgasły, pozbawiony wzroku, skonał wyrzekszy ostatnie słowa: „kwestja chorwacka jest nader ważna. Ona tam być musi (Chorvatska otazka je velice duležitá. Ta tam byt' musi)". Odnosiło się to do nadesłanego do redakcji artykułu Rodića w sprawie chorwackiej. Przed śmiercią dyktował zięciowi swojemu pamiętniki, które zatytułował „Snihy a ledy (Śniegi i lody)". Z początku poeta i dziennikarz przerzucił się wnet na niwę beletrystyki. Powieści jego „Po půlnoci" i historyczna „Lidumil" przesycone są fantazją. Większym już realizmem tchną „Vienec vavrzinovy (w 6-ciu tomach)", „Syn sveko lidu" i nader popularny romans „Zlato v ohni". W późniejszych latach napisał „Setrzik Halaburd" i „Czerné jezero". Dramaty jego: „Milada" i „Eliszka Przemyslovna" uznane przez krytykę nietylko za klasyczne, ale i za zwiastuny nowej ery w dramaturgji czeskiej.

Muza czeska niezasypia jeszcze na wawrzynach. Noworomantyzm znalazł w młodzieńczym Jerzym Mahenic swego piewcę. Jego „Ballady" niepozbawione pewnego czaru, widniejącego może nietyle w całości utworu, ile w dobitnym zaakcentowaniu szczegółów. Poeta należy do najmłodszej generacji nowoczesnych z nad Weltawy bardów.

Stosunki społeczne, ich geneza i znaczenie, stanowiące o istnieniu narodów, należą do kwestji nader żywotnych. Definicją ich, obierając formę powieściową, zajęli się pp. Antal Staszek i Franciszek Flos. Pierwszy w romansie: „Na rozhrani (Na rozdrożu)" wykazuje właściwą Słowianom zachowawczość, a raczej rutynizm, niepozwalający im wyzyskać wszelkiego rodzaju przedsiębiorczości. Bohater powieści młody inżynier zamierzający wystawić fabrykę na gruntach swojego bogatego teścia, lecz pozbawiony pomocy starego kutwy, ustępuje przed koniecznością. Korzysta z tego sąsiad Niemiec, który staje się miljonerem. Drugi natomiast Flos w humoreskach i drobnych szkicach p. t. „Na cestach životem" nietylę wybredny, lubuje się w drobiazgach. Typy jego, to ludzie zwyczajni, mieszkańcy partykularzu, a jednak pod piórem autora ludzie ci odżywają, rosną w olbrzymów, przedstawiających bogatą dla socjologa kopalnią. Fabuła, ujęta w satyrę nie bez lekkiej ironji czyni wrażenie dodatnie.

Rozwiązanie kwestji kobiecej w stosunku upadłej kobiety do mężczyzny i stanowiska jej w rodzinie wziął na swoje barki p. Juljusz Skarlandt w romansie „Hrzich". Autor hołduje tendencji postępowej, uznającej równoważność grzechu obojga płci. Jest to krok naprzód! Niemniej ważną od kwestji kobiecej jest sprawa moralności. Temu przedmiotowi poświęcił p. d-r Otokar Chlup małą książeczkę p. t. „Mravni nemoci detstvi". Autor uznaje dziedzictwo pewnych przywar i ułomności, dowiedzione przez Darwina.

Wiadomo, że czego niema w zarodku, tego nie może dać wychowanie, iż skłonności dziedzicznie nabyte, ograniczają jeno, a nie określają rozwoju. Wychowanie opiera się na przyrodzonych własnościach osobnika, który stosownie do jakości wrodzonych zdolności, może się rozwinąć do pewnego stopnia. Zaniedbanie zatraca dary przyrody.

Autor w przedmowie zaznacza, że niemoralność jest wynikiem stanu nerwowego i niestanowi wyłącznie właściwości zmysłowej pod względem psychologicznym, ale jest określoną skłonnością, jak np. rozumowa pamięciowa, estetyczna i t. p. Między innymi zaleca autor pedagogom środki, jakich użyć mają w leczeniu alkoholizmu u dzieci.

Z Veseli na Morawach donoszą nam o bliskiej już śmierci Ferdynanda Dubrawskiego, znanego pod imieniem „stryczka Ferdynanda". Był to Słowak prześladowany przez „Madjarów, niegdyś nauczyciel i redaktor *Ludowych Nowin*. Na głowę jego wyznaczono znaczne grzywny. Niemogąc się ukryć przed okiem czujnej władzy, przy pomocy dwóch przyjaciół opuścił Słowaczczyznę i osiadł na Morawach, gdzie cierpiał niedostatek, a mimo licznych odczytów w Czechach, nie mógł zapewnić sobie utrzymania. Działalność jego w dziedzinie szkolnictwa jest godną zaznaczenia. Pisma czeskie ogłosiły nań składkę.

J. F. Gajsler.

Memorabilja polityczne.

Warszawa, 22 września.

Naprężenie w atmosferze politycznej, wywołane przez notę niemiecką w sprawie Marokka złagodniało w tych czasach, ale nie ustało zupełnie.

Wszystko zależy od stanowiska, jakie rząd cesarza Wilhelma zajmie wobec noty francusko-hiszpańskiej, która została już doręczona w Berlinie. Dzienniki angielskie starają się tymczasem wmawiać w Niemców, że ich odpowiedź winna wypaść również w tonie przyjaznym, ku czemu zapowiedź chcą widzieć w pokojowym duchu mowy, jaką kanclerz Bulow wypowiedział na otwarciu piętnastej konferencji międzyparlamentarnej.

Prasa francuska i niemiecka wyrażają nadzieję, że odpowiedź rządu niemieckiego będzie pojednawcza i przyjazna, gruntując to przekonanie na samej logice faktów oraz na racjonalnym postawieniu sprawy w nocie francusko-hiszpańskiej.

Znikąd wszakże nie spotykamy zapewnienia że usposobienie Niemiec pozostanie jednakowe do końca, że nie wystąpią znów na widownię pretensje trudne do pogodzenia z poglądami innych mocarstw. Owszem we Włoszech nie przestają wskazywać na zawikłania grożące ze strony Marokka, przywodząc na poparcie swych obaw, że daleko łatwiej jest wysadzić na ląd w obcym kraju korpus ekspedycyjny, niż wycofać go stamtąd bez szkody dla interesów i godności własnego narodu.

* * *

Jest w sytuacji obecnej inny czynnik, który zaznacza się charakterem bardziej niepokojącym. Czynnik ten — to kwestja rozbrojenia czyli przystąpienia do ograniczenia skali wydatków na armię i marynarkę, kwestja, która nie schodzi z porządku dyskusji publicznej w Anglji. Według wszelkiego prawdopodobieństwa musi ona w niedalekiej przyszłości wejść na drogę stanowczych rokowań międzynarodowych.

Zwiększone zamierzenia budżetu wojny napotykają w Anglji na wielki opór w opinji publicznej. Czerpie on uzasadnienie w zastoju jakiemu ulega przemysł angielski przez co zwiększają się wciąż zastępy robotników bez zajęcia. Wykazy urzędowe tegoroczne o ruchu handlowym W. Brytanji z miesiąca na miesiąc zaznaczają poważne zmniejszanie cyfr wywozu i przywozu. Ogólny ubytek w porównaniu z rokiem ubiegłym wynosił do końca miesiąca sierpnia przeszło 72 miljony funtów sterlingów w obu pozycjach, co przedstawia dla gospodarstwa narodowego dotkliwą stratę i zniewala do szukania środków zaradczych a zarazem zachęca zwolenników tak zwanej „reformy fiskalnej" do zalecania tej polityki handlowej, za którą w poprzednim gabinecie przemawiali Józef Chamberlain i Balfour. Jeżeli powrót do imperjalistycznej polityki unjonistów na razie nie wydaje się prawdopodobny, to jednak przyznać trzeba, że położenie obecne przemysłu i handlu angielskiego nie daje widoków możliwości zwiększenia ciężarów krajowych. Wiadomo na jaką niechęć natrafił projekt pomnożenia armji lądowej przygotowywany przez ministra wojny Haldane'a. Nadto wiemy również że uchwalone w tym roku przez parlament prawo o pensjach na zabezpieczenie starości wywołuje także konieczność zarezerwowania w skarbie znacznego funduszu. Izba lordów zatwierdziła wprawdzie pod naciskiem opinji publicznej *Old age pensions* ale uczyniła to z największą niechęcią. Teraz zaś, gdy instytucja ta ma być już niedługo wprowadzona w życie, służy ona znowu za argument dla przeciwników militaryzmu, gdy idzie o podniesienie podatków na potrzeby armji i floty.

Nie należy wątpić, że na cele obrony narodowej parlament angielski gotów będzie do wszelkich poświęceń i udzieli całkowitego poparcia rządowi, gdyż mamy na to dużo dowodów w historji Zjednoczonych Królestw. Lecz z drugiej strony możliwe jest także, iż rząd angielski uczuje się zmuszonym dla uniknięcia kollizji z opinją narodu — kwestję rozbrojenia międzynarodowego postawić na ostrzu miecza. Że powyższa kwestja w inny sposób rozwiązać się nie da, mamy dowód w najświeższych deklaracjach wyszłych od kierowników polityki niemieckiej. „Ta sama miara wysokości dotychczasowych uzbrojeń" o której wspomniał w Strasburgu Wilhelm II, znajduje się także i w „wysoce pokojowej" mowie ks. Bülowa

i w jego interview'ach z korespondentem *Standarda*.

Węzeł zatem sytuacji pozostaje zaciśnięty po dawnemu. Czy nadawać jej będzie nadal charakter militaryzm niemiecki czy też pacyfizm kulturalny i ludzki, którego głosicielką jest Anglija?

To jest pytanie, które ma rozstrzygnąć toczącą się przed oczyma świata akcja polityczna...

* * *

Na przewodników nowego przewrotu w Turcji i na całą ludność tego państwa, nadzwyczajne wrażenie wywarł list króla Edwarda napisany do sułtana w „pierwszą rocznicę jego urodzin, jako monarchy konstytucyjnego". Ten wysoce polityczny krok monarchy angielskiego zwraca szczególniej uwagę wyrażeniem silnej wiary w powodzenie ruchu konstytucyjnego i uznaniem dla przymiotów teraźniejszego W. Wezyra, Khamila-Paszy.

Zarówno komitet „Jedności i postępu" jak i ogół turecki zachwycony jest uprzejmością i szczerością Anglików. Widzą w nich najbezinteresowniejszych doradców i uczucia swoje wyrażają sympatycznymi manifestacjami na korzyść Anglji.

Jednym z objawów tego rodzaju było podniesienie przez rząd obecnego ambasadora w Londynie' Rifaata-beja do godności wezyra.

St. Pyrowicz.

Komitet Towarzystwa **Wpisów Szkolnych** w Warszawie (ul. Włodzimierska Nr. 6) prosi nas o zaznaczenie co następuje:

Stwierdzono, że w ostatnich czasach usiłowano po niektórych domach zbierać składki na zapomogi szkolne na listy opatrzone pieczęcią z napisem „Koło wpisów szkolnych", bez oznaczenia numeru koła, ani nazwy szkoły.

Komitet ostrzega ofiarodawców, że Koła Towarzystwa zbierają składki wyłącznie na *kwitarjusze imienne*, stemplowane w ten sposób, że każdy kwit opatrzony jest dziurkowanym numerem Koła i prostokątną pieczęcią z nazwą tej szkoły, przy której Koło istnieje. Tylko w ten sposób kwitowane ofiary wpływają do kasy właściwego Koła i obracane są na udzielanie zasadniczo zwrotnych zapomóg niezamożnej młodzieży szkół prywatnych.

Z powodu otworzenia roku szkolnego Komitet odwołuje się do ofiarności ogółu i objaśnia, że datki przyjmują również redakcje wszystkich czasopism polskich.

Komunikat Komitetu Jubileuszu A. Świętochowskiego.

Mamy zaszczyt prosić najuprzejmiej tych Sz. Referentów, którzy prace swe na zjazd jubileuszowy przyrzekli, ażeby co najrychlej skróty ich nadesłać zechcieli, gdyż bez nich nie możemy ułożyć porządku obrad ani formalności legalizacji dopełnić.

Komitet Organizacyjny Jubileuszu Al. Świętochowskiego.

Adres, Zgoda 8 m. 9.

KRONIKA.

— Na jesienną sesję Izby Państwowej rząd zamierza wnieść nową ustawę paszportową, uchylającą jakoby wszystkie ograniczenia dawnego systemu.

— 40,700 rubli zapłaciły w ciągu czerwca, lipca i sierpnia r. b. pisma rosyjskie tytułem kar prasowych.

— Ks. Trubeckij II, człowiek Rady Państwa z ramienia uniwersytetów rosyjskich, zrzekł się tej godności, w braku więc innego uprawnionego kandydata, odbędą się ponowne wybory, na które Uniwersytet Warszawski wybierze i wydeleguje do Petersburga 3-ch wyborców z grona profesorów.

— 470 tysięcy rubli wyasygnowało ministerjum sprawiedliwości na rozszerzenie więzień w Rosji. Reformy projektowane są na początek w Wilnie, Wiatce, Permie i Rydze.

— Cała armja rosyjska ma otrzymać wkrótce nowe umundurowanie. Nad reformą tą pracuje minister wojny Redigier.

— Ciągle kursują pogłoski o zamierzonym zniesieniu stanów wojennych i zastąpienia ich jednym typem ochrony wzmocnionej z wyjątkiem Kaukazu, który jeszcze nie uspokoił się dostatecznie.

— Październikowiec hr. Uwarow zamierza wnieść do Izby państwowej interpelację w sprawie działalności ministerjum oświaty.

— Minister Izwolski odbywa podróż polityczną po Europie: był w Wiedniu, w Monachjum, zamierza odwiedzić Tittoniego w Desio, złożyć wizytę królowi włoskiemu w Raccionigi, być w Paryżu i dalej rundrajzą na Londyn i Berlin, powrócić do Petersburga.

— Niemcy w Łodzi uzyskali zatwierdzenie ustawy gimnazjum 7-klasowego z językiem wykładowym niemieckim, oraz takiejże szkoły realnej. — Obie szkoły zaczęły już funkcjonować.

— Gen.-gubernator warszawski polecił dokonać w Magistracie m. Warszawy rewizji celem ustalenia o ile słuszne są zarzuty opublikowane w pismach warszawskich, a głównie w „Gońcu" co do gospodarki miejskiej.

— Bulgarja, jak krążą wersje, zamierza ogłosić się Królestwem.

— Anglja zacieśnia coraz bardziej węzły przyjaźni z Turcją. Król Edward zamierza wkrótce odwiedzić Konstantynopol.

— Budżet Izba państwowej ułożony na 1909 rok przez posła Charłamowa wraz z pensjami i djetami posłów, utrzymaniem kancelarji i t. p, wynosi 2,772,320 rubli.

— Dyrektor Filharmonji Warszawskiej Aleks. Rajchman podał się do dymisji. Rezygnacja jego została przez Radę nadzorczą przyjęta.

— Minister Izwolski według krążących pogłosek ma wkrótce ustąpić za swe zbyteczne sympatje dla ruchów wolnościowych w Turcji i i Persji. Przypuszczają, że zastąpi go Witte.

— Rektor Uniwersytetu Petersburskiego prof. Bergman złożył swój urząd rektora z powodu nowych rozporządzeń ministra Szwarca, negujących zupełnie kolegja profesorskie.

— Epidemja cholery w Rosji wzmaga się stale. Od połowy lipca zachorowało przeszło 7 tysięcy osób. W Petersburgu z powodu niezdrowego położenia, złych warunków sanitarnych i niedołęstwa władz w ostatnich dniach zapada na cholerę przeciętnie 300 osób dziennie, z tego zaś przeszło 150 osób [illegible]

— W sprawie uczestników moskiewskiego związku kolejowego zapadł wyrok izby sądowej, skazujący wszystkich podsądnych na karę domu poprawczego, wieży i twierdzy.

— Prof. Muromcew, b. prezes pierwszej Dumy, po odsiedzeniu kary za podpisanie odezwy wyborskiej, rozpoczął wykłady w uniwersytecie moskiewskim.

— W Berlinie dn. 19 b. m. ukończył swe obrady [illegible] unji międzyparlamentarnej, instytucji, mającej za zadanie łagodzenie zatargów między wszelkimi frakcjami parlamentarnymi drogą sądów rozjemczych i powołanej do życia w 1888 roku w Paryżu przez Sir Raula Cremera i słynnego pacyfistę Fryderyka Passy. Kongres obecny zgromadził 893 przedstawicieli parlamentów europejskich oraz Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i otworzony został przez Bulowa. Duma i Rada państwa rosyjska wydelegowała 9 przedstawicieli, między innymi Perganenta, Milukowa, Niesełowicza, Parczewskiego, Bulata, oraz członków Rady państwa Guczkowa i Wasiljewa.

— Odbył się w Wiedniu międzynarodowy kongres astronomów.

— W Brukselji dokonano prób telefonowania bez drutu; powiodły się one doskonale. Otrzymano fonogram wysłany z Paryża z wieży Eiffel.

— Wiele Stanów Ameryki Północnej nawiedziła klęska suszy, która panuje od 6 tygodni. Wiele kopalń z braku wody zawiesiło swe czynności.

— Były minister duński Alberti, jak to wykazała obecnie komisja śledcza, zdefraudował podczas urzędowania 36 miljonów franków.

— 200 tysięcy robotników w Manchester pozostało bez chleba z powodu ogłoszenia lokauta przez przędzalnie i fabryki wyrobów bawełnianych.

— Lynczowanie murzynów w Stanach Zjednoczonych A. P. przybiera coraz większe rozmiary. W roku bieżącym barbarzyński ten samosąd pochłonął już blisko sto ofiar.

— W oddziale rewolucjonistów tureckich wykryto oficera niemieckiego sztabu gieneralnego.

— Bezrobocie wybuchło na kolei wschodniej [illegible]

— Król Hiszpański zamierza wkrótce odwiedzić dwór Saski w Dreźnie.

— Tancred o Canonico prezes senatu włoskiego szczery przyjaciel Polaków zmarł w Rzymie 16 b. m.

— Zmarła w Warszawie dn. 23-go b. m. znana poetka Jadwiga Łuszczewska znana pod pseudonimem Deotymy.

— W Biaritz umarł Patlo Tarasata, słynny artysta [illegible]

OFIARY.

Na szkołę im. Aleks. Świętochowskiego: Sitkowski z Radzynia rb. 6, H. Levittoux z Radzynia rb. 3, A. Brydziński z Radzynia rb. 1, Woszczyński z Kijowa rb. 20, D-r Majkowski z Warszawy rb. 10.

Na Komitet jubileuszowy Al. Świętochowskiego: Solomonowicz z Petersburga rb. 2, St. Molendziński z Ekaterynodaru rb. 3, Bronisławowie Kolbe z Grodzca rb. 15, Sulej z Warszawy rb. 1, Werner z Warszawy, rb. 4, Józef Kotowski z Ust-Medwiedicka rb. 3.

Książki nadesłane do Redakcji.

Stanisław Brzozowski. Płomienie. Z papierów po Michale Kaniowskim. Wydał i przedmową poprzedził, St. Brz. Lwów 1908 r. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połanieckiego.

OD REDAKCJI.

Odezwą Redakcji, umieszczoną w Nr. 36, *Prawdy*, zachęceni współpracownicy naszego organu postanowili składać 5% od swych honorarjów autorskich na rzecz stypendysty *Prawdy*.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek kwartalny „Prawo do całkowitego wytworu pracy", Aut. Menger'a w przekładzie J. H. pod redakcją Lutosłańskiego Kazimierza — oraz prospekt „Sztuki Polskiej".

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.